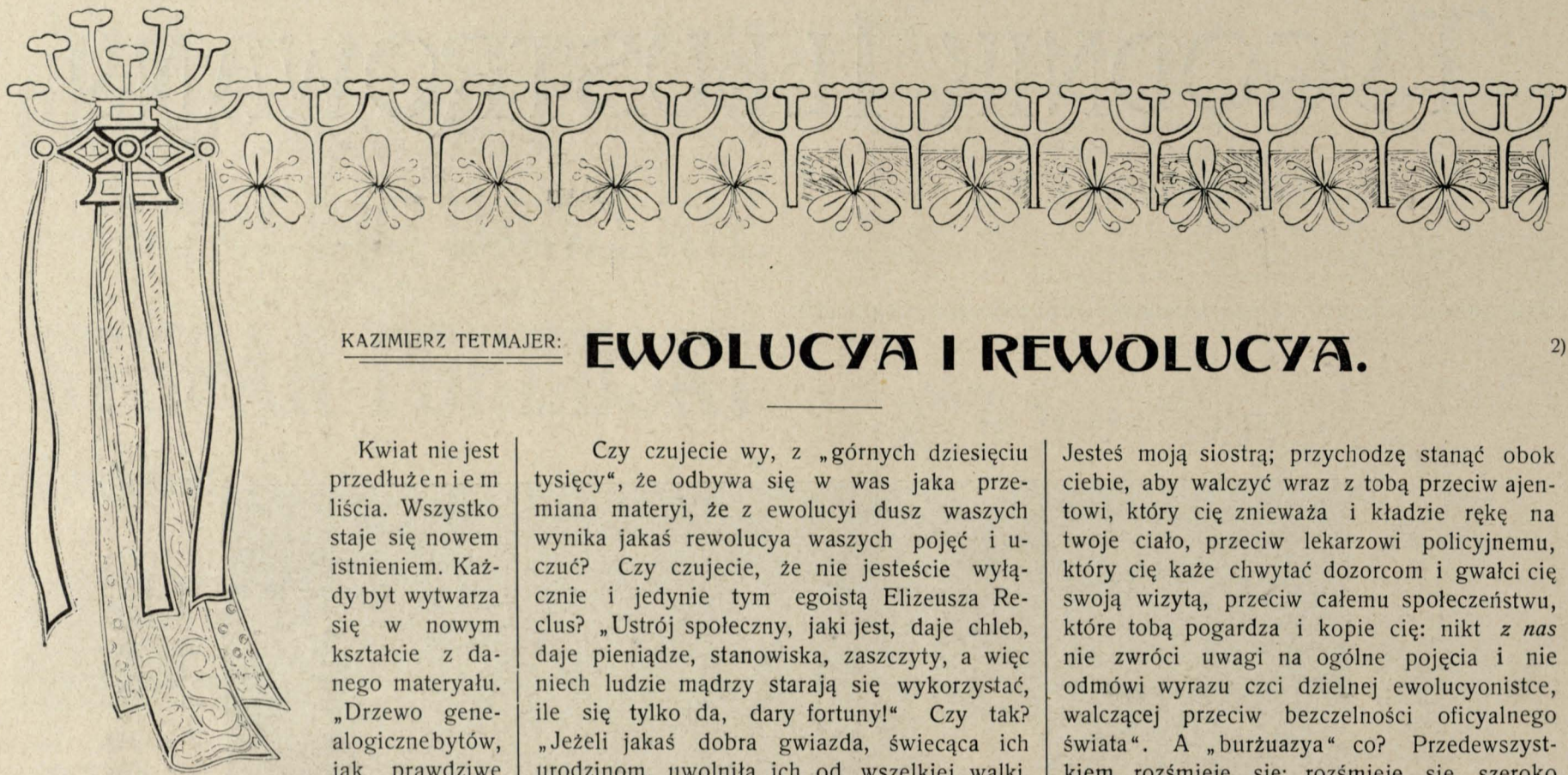


TYGODNIK ILLUSTROWANY



MELANCHOLIA

STANISŁAW CZARNOMSKI



KAZIMIERZ TETMAJER:

EWOLUCYA I REWOLUCYA.

2)

Kwiat nie jest przedłużeniem liścia. Wszystko staje się nowym istnieniem. Każdy byt wytwarza się w nowym kształcie z danego materiału. „Drzewo genealogicznebyków, jak prawdziwe drzewo, jest ze-

społem gałęzi, z których każda znajduje siłę życia nie w swej poprzedniczce, ale w soku żywotnym, krążącym w miądzce.

Dzieło Elizeusza Reclus o ewolucji rewolucji jest duże i pierwszy tylko jego rozdział streściłem. „Współczesna dusza polska“, której definicji jeden z warszawskich redaktorów sobie życzył, ma teraz nielada zadanie przed sobą: musi ona dobrze zrozumieć sama siebie, a zarazem dobrze zrozumieć filozofię życia. Chodzi o to, *aby była myślącą*. Da jej to dużo dobrych chęci, a odciągnie ją od melancholii. Świadomość, rozumienie, zdawanie sobie sprawy daje ogromną satysfakcję. Jest pewna wyższość w umyśle rozumującym i rozumiejącym, w umyśle sięgającym w przyszłość, we wzroku dłuższym, niż koniec nosa. Jest także wielkie zadowolenie w uczuciu, że co się dzieje i staje, nie dzieje się poza mną i mimo mnie, ale że i ja osobiście biorę w tem jakiś udział i rozumiem, co się staje. Tymczasem u nas, w naszych „górnym dziesięciu tysiącach“ jest i tego współdziałania i tego rozumienia, pojęcia, bardzo mało. Słowa dźwięczą, jak pieniądze rzucane na miedziany talerz, ale też i tylko tyle. „Mówi się bardzo życzliwie w ogólnikach o ewolucji, ale się odpycha ze wstrętem rewolucję“... Nie jest tu mowa naturalnie o rewolucji bomb, browningów i sztyletów, ale się *nie rozumie*, co znaczy — poza taką uliczną — rewolucją. Tymczasem ta rewolucja psychiczna, rewolucja stanu dusz, mózgów i serc trwa od tak dawna, jak dawno istnieje świat, trwać będzie zawsze, ona jest „wodą żywota“, ona jest chlebem istnienia moralnego, dźwignią powszechną. Jest to rozpękanie kwiatu po wolnej ewolucji rośnięcia. Nie kończy się i nie ustaje nigdy, bo z jej śmiercią zamarłby świat. Lecz jakże patrzy na nią *egoista*? „Daleki od szukania sprawiedliwości dla wszystkich, kontent jest, jeśli może zdobyć jaki przywilej dla własnej osoby“.

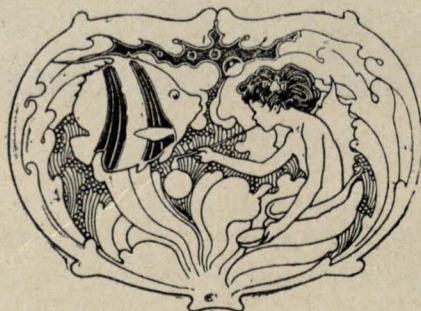
Czy czujecie wy, z „górnym dziesięciu tysięcy“, że odbywa się w was jaka przemiana materii, że z ewolucji dusz waszych wynika jakaś rewolucja waszych pojęć i uczuć? Czy czujecie, że nie jesteście wyłącznie i jedynie tym egoistą Elizeusza Reclus? „Ustrój społeczny, jaki jest, daje chleb, daje pieniądze, stanowiska, zaszczyty, a więc niech ludzie mądrzy starają się wykorzystać, ile się tylko da, dary fortuny!“ Czy tak? „Jeżeli jakaś dobra gwiazda, świecąca ich urodzinom, uwolniła ich od wszelkiej walki, a dała im w dziedzictwie nietylko potrzebne, ale i zbytek, o cóżby się skarżyli?“ Czy tak? Zatkaną uszy, jak Odyszeusz woskiem, i płynąć. „Dla najedzonego cały świat po obiedzie“. I zawsze jeszcze ideałem jest: „bogactwo, władza, znaczenie, dobrobyt“?

Lecz przypomnijcie sobie, co Mickiewicz włożył w „Panu Tadeuszu“ w usta Napoleona przez usta Jacka Soplicy do niedbających Litwinów: „Obejdę się ja bez was!“...

Ewolucja i rewolucja dusz idzie — i trzeba jej wychodzić naprzeciw, jak dzieci jerozolimskie naprzeciw Chrystusa, z palmami i kwiatami, z wiarą, miłością i dobrą chęcią w sercu, z głośnym okrzykiem: Hosanna! Dziećmi tylko jesteście, drobiazgiem wobec tego Króla królów, choć w lnianej szacie! Śmieszni i nędzni mi się wydajecie w swoich herbownych, czy nie herbownych pałacach, wy — niechętni rozwojowi duszy. A czyż ona pyta o was? Czyż ona zważa na was? „Czyż widzi was, dostrzega“. Jesteście ziarnkami grochu, leżącymi na szynach pociągu — nawet nie wie, że przejechał.

Czas już, czas przestać „konserwować“ „stan obecny“, „choćby nawet był zły“, bo „realizuje ideał: bogactwa, władzy, znaczenia, dobrobytu“. Czas!

„Kiedy widzimy — mówi Reclus o sobie i o swoich — kobietę czystych uczuć, szlachetnego charakteru, nieposzlakowanych obyczajów, która zniża się do prostytutki i mówi:



Jesteś moją siostrą; przychodzę stanąć obok ciebie, aby walczyć wraz z tobą przeciw agentowi, który cię znieważa i kładzie rękę na twoje ciało, przeciw lekarzowi policyjnemu, który cię każe chwytać dozorcą i gwałci cię swoją wizytą, przeciw całemu społeczeństwu, które tobą pogardza i kopie cię: nikt z *nas* nie zwróci uwagi na ogólne pojęcia i nie odmówi wyrazu czci dzielnej ewolucjonistce, walczącej przeciw bezczelności oficjalnego świata“. A „burżuazya“ co? Przedewszystkiem rozśmiej się; rozśmiej się szeroko i głęboko, bo przedewszystkiem śmiać się musi kołtun (w mitrze, czy w cylindrze), który czego nie rozumie i gdy czego nie rozumie. A „bohaterami są wszyscy ci, którzy w jakimś kraju, w jakimkolwiek czasie umieli się poświęcić bez myśli o sobie dla sprawy powszechnej, jakkolwiek był ich horyzont! I niech każdy z nas ich pozdrowi wzruszony i powie sobie: umiejmy im wyrównać na naszym polu bitwy, innem, obejmującym całą ziemię!“

Albowiem wszystko, co jest rewolucją, łączy się z sobą, czy dotyczy będzie „poptępionego nędzarza i prostytutki, czy niezmiernych kręgów życia ludzkości, i niema tak małego zakresu działania, któryby nie powinien być podziwiany“.

Ogromny Chrystus — w mojem pojęciu — zbawiał świat, a mała Maryja Magdalena namaściła Mu nogi i póki pamięć Chrystusa nie zaginie, nie zaginie pamięć o Maryi. Oboje wykonali czyn rewolucyjny — podług miary.

A wy? Jeżeli „jaka dobra gwiazda, świecąca waszemu urodzeniu, dała wam potrzebne, a nawet zbytek“ — to „usiłujecie wmówić w siebie, że cały świat jest tak zadowolony, jak wy“. Usiłujecie tak wmówić w siebie, choć wiecie, że to nieprawda — najmędrsi z was mówią: *to trudno*, taki jest porządek rzeczy... Ale patrzcie, o burzuje wszelkich odcieni i niuansów, *jak łatwo* kolej żelazna przejeżdża po ziarnkach grochu, rozsypanych na szynach. Duch czasu to nie jest goethowski „własny duch panów“, to jest ten Duch goethowski, który „w falach żywota, w burzy czynów

wznosi się i spada,
przędzie tu i tam!“

i spyta: „Tyś to jest, co mym tchem owiany, we wszystkich głębiach życia drzysz, robak skurczony z przerażenia?“



DROGA DO WSI

MICHAŁ POCIECHA

OR-OT: KOŚCIUSZKO.

I.

Na mogiłach zapadłych
Kwitną fjołki, ostróżki...
Czasy-ż były to, czasy
Za naszego Kościuszki!

Czasy-ż były to, czasy
Z blasków zorzy, z purpury!
Naród w skrzydła uderzył,
Rwał się ptakiem do góry!

Płomień duchów ofiarnych
Złotym zniczem się palił,
Co śmiertelne—pogrzebał,
Nieśmiertelne—ocalił!

Do jutrenki za chmurą
Przez skrwawione szedł dróżki...
Na mogiłach zapadłych
Kwitną fjołki, ostróżki...

II.

W Ameryce dalekiej
Za górami, za morzem,
Mkną gwiazdziste sztandary
Lazurowem przestworzem.

Na dumnego Anglika,
Co wciąż prawa swe rości,
Z Waszyngtonem w bój idzie
Kwiat czcicieli wolności.

Nie struchleją, mospanie,
Przed armatnią pogróżką
Lafayette'y, Pułascy
I Tadeusz Kościuszko!

Za sztandary gwiazdziste,
Za jutrenkę przyszłości,
Rad swe ciała położy
Kwiat czcicieli wolności!

III.

Pod Sawannach Pułaski
Na boisku legł chwały,—
Obca ziemia go skryła,
Obce drzewa szumiały!

I śni tułacz-bohater
W złanej własną krwią glebie
O Paniencie Przeczystej
I o Barskiej potrzebie.

A tam z kraju wieść leci:
Ptak do lotu się zrywał
Do powrotu kraj woła,
Matka synów przyzywał!

Szybki okręt żegluję
Smaragdowych fal dróżką,—
W stronę lubej ojczyzny
Tęsknie patrzy Kościuszko.

IV.

Lasy! łąki i pola!
Góry! gaje! doliny!
Pozdrowione mi bądźcie,
Kwiaty mojej krainy!

Kwiaty mojej krainy!
Kiedyż ręce kochanki
Z was na skronie rycerskie
Będą sławy wić wianki?

Lata płyną, jak woda,
Jako fale potoku,—
Gmach odwieczny się wali,
Mdleją duchy w pomroku.

Alić surma zabrzmiała,
Dzwon na alarm uderzy:
Wijcie, ręce kochanki,
Kwiat na skronie rycerzy.

V.

Z mieczem w górę wzniesionym,
Z natchnionemi oczyma,
Tam—na rynku krakowskim
Widzisz ducha—olbrzyma?

Wokół bracia siermiężni,
Pierś przebiegły im dreszcze,—
I z ust wodza głos płynie:
„Boże! pozwól raz jeszcze!”

Dzwon Zygmunta zadzwonił,
Leci echo nad krajem,
Zaświeciło znów zorzą,
Zapachniało znów majem!

Precz, widziadła nicości!
Precz, zwątpienia złowieszcze!
Rwie się z serca milionów:
„Boże! pozwól raz jeszcze!”

VI.

Mgła poranna srebrzyście
Nad obozem zawisła,
Rżą bojowe rumaki,
Jutrznia w kosach rozbłysła.

Lśnią ponsowe krakuski,
Białe świecą sukmany,
Płynie chłopska modlitwa,
Jak skowronek nad łany.

Przeogromna tęsknota,
Nieskończony żal ducha
W przedbitewny poranek
Z tej modlitwy wybucha.

Z mgły srebrzystej na ziemię
Zszedł poranek świetlany, —
Jedzie w chłopskiej sukmanie
Sam naczelnik kochany!

VII.

Głośnie trąbki zagrały,
Tarabany w takt wała,
W bój krakowskie kierezye
Niewstrzymaną rwą fała.

Zamęt! pieśni nabożne!
Świst kul! gromy armatnie!
Jęki rannych, kwik koni!
Pożegnania ostatnie!

Dym prochowy, jak całun...
Szał rozpaczy i męstwa...
Żywiołowy pęd naprzód —
I krzyk wielki zwycięstwa!

I krzyk wielki zwycięstwa
Do nadziejskich mknie mgławic!
Dźwięczy chłopska modlitwa
Z krwawych łanów Raclawic!...

VIII.

Nie! tyś nigdy nie wyrzekł,
Widząc straszną agonię,
Słów, co wiarę mordują,
Tych słów: „Finis Poloniae!”

We krwi waląc się z konia,
Ciałem, które mrze — mdleje,
Jeszcze wierzył w blask słońca,
Wbrew nadziei — w nadzieję!

Nie! tyś nigdy nie wyrzekł,
Nawet w krwawej rozpaczy,
Tego, coby przekleństwem
Łzawych było tułaczy!

I do dziś nam przyświeca,
Skroś cierniowych lat dróżki,
Wielka miłość Kościuszki,
Wielka wiara Kościuszki!

IX.

W pięknej, wolnej Szwajcaryi,
Pod nieb jasnych topielą,
Duma starzec samotny,
Troski głowę mu bielą.

Duma starzec samotny,
Wart królewskich szkarłatów,

Pośród wspomnień bojowych,
Małych dzieci — i kwiatów.

I rozmyśla o listku,
Co oderwał się z drzewa,
Wiatr przez pola go niesie,
Do obczyzny zawiewa.

Już nie ujrzy swej ziemi,
Gnany wichrem liść lotny...
W pięknej, wolnej Szwajcaryi
Duma starzec samotny.

X.

I powrócił do kraju,
Ale garścią popiołów,
Wielki czciiciel wolności
Z czystą duszą aniołów.

Jak kraj długi, szeroki,
Biły dzwony kościelne,
Nieśmiertelną czcząc sławę
Przez te szczątki śmiertelne.

I odpoczął, gdzie króle
Śpią — stróżowie przeszłości,
A lud kopiec mu sypie,
Wielki pomnik miłości!

Na zapadłych mogiłach
Kwitną fjołki, ostróżki...
Zniknie kopiec Kościuszki,
Przetrwa pamięć Kościuszki!...

P O K Ł O S I E.

— Hej, po kłosie, po kłosie, a zbierze się garść! A z tych garści snop, snop jeden, drugi i wiele! Ustawię je w kopce, a z kopców wiele ułoży się stóg, wielki i gruby, by dworskiemu dorównał! Przykryję go słomą i chróstem i żerdzią przywalę, by mi ptaszki-szkodniki ani nie skubnęły! Będzie chleba w bród! Hej, po kłosie, po kłosie, a będzie z nich stóg!...

Tak se Jantek w głowinie układał.

— Ino śpiesz się, a żywo, i baczenie upatruj, byś nie minął ani kłoseczka, bo wnet orka się zacznie, a ptactwa też w polu niemało! matula gadali.

— Hej po kłosie, po kłosie!

Stąpa wolno bosemi nogami po ścierniku. Rozgląda się po ziemi, a gdy ujrzy kłosek, podnosi, ogląda, czy godny, czy niegodny. A czasami jeno tknie, wnet pozna je, że ziarna w nim niema, i ciśnie.

Od szarego ranka drepce z roli na rolę, parę mórg już schodził. A czarne rzyśka ciągną się hen, hen daleko, ani okiem ogarnąć, choćbyś nogi uchodził, nie zejdziesz ich do ostatka...

Zsunął z czoła czapczynę, zapatrzył się szaremi oczyma w przestrzeń.

— Wielgie grunta — szepnął i głowę opuścił.

I rzucił się naprzód, bo ujrzął tuż wiel-

ki, pełny kłos. Zatrzymał się w skoku: z pod nóg zerwało się liczne stado kuropatw.

— To ci chyże! a pod nogi to lezie, bo fuzyi nie czuje... Czekałta, ino patrzyć, jak was panicz wystrzelo!

Zatrzepotały skrzydłami, uniosły się i spadły hen, na pola. Odprowadził je spojrzeniem, roziskrzonym złością.

— Nie dziw, że tyła kłosów niegodnych, ptactwo wszystko do cna wydłubie!

Wyciągnął z kieszeni kawał razowca, przekąsił.

— A zwijaj się! Frankowej dzieciska piękne dwa snopy uzbierały. Choć jeszcze nienauczny, zwijaj się i ty, Jantek! — matula gadali.

— Co to, dwa snopy! mała z tego pociecha, akuratnie tylo, coby kurom podsypać — odpowiadał se w duszy. — Jantek tyle uzbiera, by stóg cały uwalić, taki tęgi, by dworskiemu dorównał!...

Zarzucił na ramię związane powrózełkiem garści i ruszył dalej, ochoczo.

— Hej, po kłosie, po kłosie!

Podbiegał z radością ku kłosom, samotnie sterczącym, oglądał; rzadko były pełne; a te godne podcinał dłonią, jak sierpem, i składał do garści.

— Hej, po kłosie!

Lecz kłosy godne trafiały się coraz rzadziej, pustych było co niemiara. Tu i owdzie leżały całe pęki potarganej słomy; przerzucał je i zrzadka kłos pełny wymacywał palcami.

— Pewno inni wyzbierali, ano pewnie, albo ptactwo wyskubało...

Znów upatrywał. Zniecierpliwiony przebiegał kilkanaście kroków, by stado kuropatw wypłoszyć z miedzy.

Rozglądał się po wielkiem polu, otulonym w ciszę i szarość.

Przebiegał całe polany, czarne, do szczętu stratowane kołami wozów i kopytami końskimi, gdzie ani strzępu kłosa nie było. Opuszczał chude ramiona i ogarniał smutnym spojrzeniem szerokie pola.

Głód ścisnął mu wnętrzości, o wieczery pomyślał.

W szarzyźnie zapadającego zmroku znaczyły się ponuro wielkie, grube stogi.

— Galante, jak jeden! Będzie chleba w bród!

Podbiegł ku nim rażno. Z pod nóg jantkowych fyrkały stada kuropatw; wymknął się z miedzy zając przyczajony i Jantek patrzył, jak szarak chyżo umykał, jak skokami robił, jak odbiegł na staję, słuchy nastawił i węszył, i znów wyrывał, białą kitką zna-



RUTH.

HENRY RYLAND.

cząc się po ścierniu, aż się oczy Jantkowi zaśmiały.

Podbiegł Jantek do stogu, obejrzał go wokół, podszedł bliżej i skubnął; co po wierzchu, wszystko było puste, ani jednego godnego kłoska. A stóg tak tęgo był nabity, że ani ręki wrazić, by choć garść uskubnąć.

— Tęgo wałą pańskie stogi!
Spojrzał na swój zbiór; była tego dobra garść.

— Kaj ta jeszcze do snopa!..
Nożęta jantkowe kurczyły się ze znużenia, i w brzuchu z głodu warczało. Usiadł pod stogiem, zdjął czapkę, garści złożył obok.

— Po kłosie, po kłosie, a zbierze się garść... Kaj ta będzie snop! A wielu ich trza, by stóg tęgi uwalić!..

Zapatrzył się w pole. O parę staj przemknął zając spłoszony.

— Chyca se i chyca, ani pyta, czyje grunta, wszędzie jego, i nikt go nie pyta, czyżes ty i dokąd tak pyrgasz. Leci se i leci, i węszy, i wiatr mu ino gada, czy się psisko jakie nie czai, abo panicz gdzie z flintą... A zmykaj, a chyżo, nie daj się upolować!

Sięgnął dłonią po garści, zaczął kruszyć ziarna do czapczyny, kłos za klosem, ani myśląc, po co to robi.

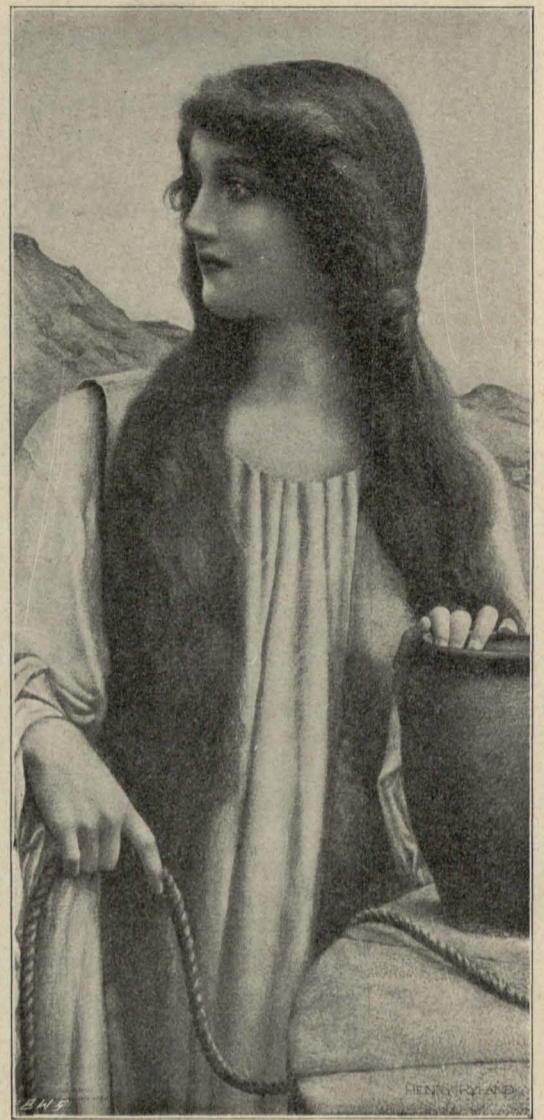
— Abo te ptaszki! zbiera to se te ziarno i fyrka z roli na rolę... Nie dajta się upolować, szkodaby was było! Latajta se z Bogiem!

Tuż, tuż o kilka kroków Jantek spostrzegł kilkanaście główek ptasich, żywo poruszających się wśród żółtych igieł ścierniska. Zerwał się w jednej chwili.

— Mata, ptaszki! Stoga z tego nie będzie, ani snopa nawet!.. Po kłosie całyk dzionek zbierał i tylać uzbierał... Mata, ptaszki!—krzyknął rażno i sypnął całą zawartość czapczyny, wykruszone ziarno.

Zatrzepotało skrzydłami ptactwo spłoszone i uniosło się hen.

Jantek stał z obwisłymi ramionami i wzrokiem, żalem zamglonym, zapatrzył się w lot ptaków.



RACHEL.

HENRY RYLAND.

Cicho było i szaro. Jenozda szczekanie psów ode wsi...

Nożęta Jantkowe zadygotały, zatrzęsły się ze strachu, jak w febrze.

— Co matula powiedzą na takie pokłosie?!..

WŁADYSŁAW GACKI.

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

31)

A tymczasem czterej mężczyźni odbyli w pokoju Linowskiego krótką naradę, której ostateczny wynik tak sformułował Dębowski:

— Uważaj, panie Kazimierzu, co ci będę mówił, bo od tego odstąpić nie wolno, rozumiesz?..

— To zależy... — wtrącił Świrski.

— Przepraszam... tu niema żadnego: zależy... Do pańskiej gry angażuję się ja, o co mniejsza, ale i angażuje się pani Linowska, której narażać nie mamy prawa.

— Ależ wołałbym umrzeć!..—przerwał z wybuchem Świrski.

— Proszę cię, Kaziu, wysłuchaj!.. — szeptał Władek, ściskając przyjaciela za rękę.

— Panie Kazimierzu — odezwał się Linowski — od piątku jesteś dla nas niby drugim synem... Nie obrażaj się, że cię chce usynowić biedny podleśny...

Tu Świrski nagle pochylił się i pocałował w rękę Linowskiego, któremu oczy

zaszły łzami. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie doktor wytarł okulary i mówił niezwykle łagodnym, jak na niego, tonem:

— Nie czas rozczulać się... Tylko wiedz o tem, panie Świrski, że, kiedy dostałeś się pomiędzy nasze serca, obchodzi nas nie tylko twoje bezpieczeństwo, ale i twój honor... Wierzysz?..

— O... tak...

— No, więc posłuchaj i usłuchaj... Jak powiedziała Linowska, musisz zostać tutaj, a przynajmniej tu mieć główną kwatery. Tej okolicy musisz się pilnować, bo tu i ukryjesz się najłatwiej, i tu możesz odbierać wiadomości...

— Od kogo tam!.. — szepnął Świrski, wruszając ramionami.

— Choćby ode mnie—mówił Dębowski.—Naprzód wystawisz mi kwit na sto rubli, a ja ci je przyślę od Weintrauba, a może

jeszcze z Żelaznych Hut. Następnie dam ci wiadomość o tych trzech Robinsonach czy Rynaldinich: o Starce, Chrzanowskim i Lisowskim... (Nieżle jeszcze pamiętam nazwiska, co?..) Dam ci znać, czy nie siedzą w kozie, albo czy nie wiedzą czego o nich wasi koledzy... Jeżeli siedzą w kozie, trzeba im wyrobić jakieś ulgi: tytuń... lepsze jedzenie i tak dalej, na co ty, kochanku, dasz pieniędzy...

— Rozumie się!.. — wtrącił Świrski.

— Doskonale! Następnie dam ci wiadomość: jak mnie twój stryj przyjmie...

— Pan będzie u stryja?.. — zawołał Świrski.—Ach, jaki pan dobry!..

— Paradny sobie ten młody szlachcic!.. Przecież twój stryj musi dostarczyć pieniędzy na rozmaite nasze przedsięwzięcia, i nie wątpię, że zrobi to z impetem, właściwym rodzinie Świrskich...

— Ja myślę!.. — mruknął Linowski.



ZACHÓD SŁOŃCA.

A. LEN.

— A teraz słuchaj mnie, panie Kazimierzu—ciągnął doktor. — Ja ci ręczę słowem, że twoich kolegów nic złego nie spotka, choćby wpadli do kozy... Ja ci ręczę, że w onej kozie będą mieli opiekę, rozumie się, za twoje pieniądze, a nawet choćby ich zesłano, także będą mieli opiekę i także za twoje pieniądze... Ale w zamian daj mi słowo, że—gdy ci powiem: wszystko jest dobrze! ty, jakże Świrski, wyjedziesz do Galicyi i tam posiedzisz—miesiąc. Czy powrócisz do kraju, czy wyjedziesz do Rosyi, aby wojować z nieistniejącą armią rewolucyjną, to już nie należy do mnie. Ale miesiąc musisz przesiedzieć w Galicyi i ochłonać... Mam twoje słowo?...

Świrski pomyślał i podał mu rękę.

— Ma pan rację—rzekł—jestem głupi i powinienem wrócić do szuby...

— Do uniwersytetu, kochany panie!—rzekł doktor. — I ja od szpady powróciłem do szkolnej ławy, a jakem się uczył!.. jak mi się chciało uczyć!...

Doktor wyszedł z pokoju, a w kilka minut później wbiegła zaczerwieniona od mrozu służąca, mówiąc:

— Paweł już zaprzęga i kazał spytać, co pójdzie do sanek?

Pani Linowska chwyciła się oburącz za głowę.

— Bójcie się Boga—zawołała—ależ ja jeszcze nie skończyłam pakować!...

— A ja idę przebrać się—rzekł Linowski.—Jak potrzeba, to trzeba...

— Prędzej śmierci spodziewałabym się, aniżeli takich świąt...—szepnęła Linowska.—Każdej wigilii bywało u nas po kilkanaście osób, a dziś nawet mąż i chłopak wyjeżdżają!...

Świrski zarumienił się a Władek szybko wtrącił:

— Mamusia nazywała mnie babą, kiedy niepokoiłem się o tatkę, a dzisiaj sama babieje na myśl, że na wigilię trzeba będzie mniej ryb ugotować...

— Nie o ryby mi chodzi, ale o tę drogę waszą, która wcale nie jest bezpieczna...

— Dla tatki i dla mnie?... — zaśmiał się Władek. — Tatko ma ze dwadzieścia strzałów, a ja ze sto. Wreszcie kto nas może napaść?

— Choćby ten Zając, czy Zajączkowski, o którym wszyscy mówią.

— Zajączkowski nic Władcowi nie zrobi, za to ręczę—wtrącił Świrski.

— A czy niema innych bandytów? — zapytała Linowska.

Świrski pomyślał i szepnął do Władka:

— Twój brauning w pokoju, tam?... Obejrż go.—I wyszedł.

Tymczasem dwie silne dziewczyny wniosły do pokoju ogromny kosz i walizę, do której pani Linowska zaczęła układać bieliznę z komody i garderobę z szafy.

— Daję wam—mówiła do syna—trykotowe kaftaniki i resztę... Proszę cię, pilnuj ojca, ażeby nigdy bez trykotów nie chodził. I ty także...

— Rozumie się! — wtrącił Władek.—Przecież, kiedyśmy szli pod Słomianki, wzięłem trykoty na siebie i do rańca...

— Ach te Słomianki nieszczęśliwe!...—westchnęła matka. — Spodziewam się, że już drugi raz takiego głupstwa chyba nie zrobisz...

— Naturalnie, że, jak będzie spokój, wstąpię na uniwersytet, albo do politechniki... Ale jeżeli wybuchnie rewolucja i wojna z Niemcami...

— Jeszcze pleciesz o rewolucyi?... Ileż razy mówił ojciec, a teraz i poczciwy doktor, że to nie jest żadna rewolucja, tylko zamieszki...

— Ale te zamieszki odciągają wojsko z głębi Rosyi do nas i pozwalają organizować się wrogom... Moja mamusiu, to dopiero początek początku!... I ja tylko dlatego wyjeżdżam do Galicyi i gotów jestem wziąć się do nauki. Ale kiedy wybuchnie prawdziwa rewolucja... kiedy wkroczą Prusacy, których będziemy musieli wyrzucić stąd i jeszcze pójść do nich...

Mówiąc to, Władek wywijał pięściami; oczy iskrzyły mu się a twarz silnie poczerwieniała.

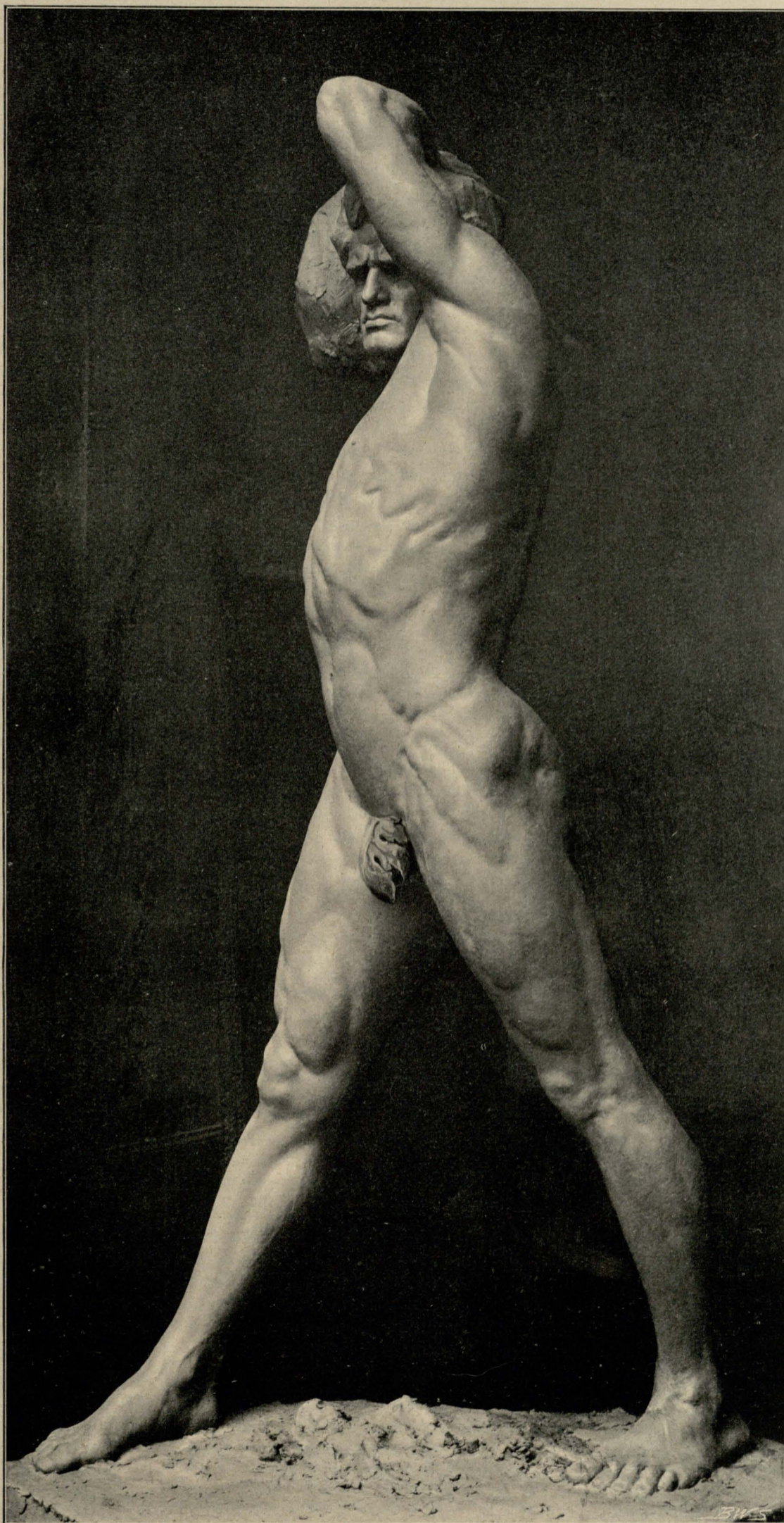
— I tybyś poszedł?... — spytała Linowska, splatając ręce.

— Ja?... — zdziwił się Władek.—Przecież gdybym nie poszedł, mamusia sama wyparłaby mnie się, a tatko chyba plunąłby mi w oczy...

(DCN)

PRECZ Z DROGI!

„Mention honorable“
w salonie paryskim 1908.



STANISŁAW
CZARNOMSKI

— Paparuch! Na sprzeczki to czas ma! — mrucał, idąc w podwórze, ale tam ześlił się barzej, gdyż i ten drugi pług, którego wyciągnął z pod szopy, zarówno był do niczego. Długo koło niego majstrował coraz niecierpliwiej, nasłuchując kłótni, bo Hanka już wykrzykiwała rozwścieklona:

— Zapłać szkody, to ci maciorę wypuszczę, a nie, to podam do sądu! Zapłać za płótno, co mi je zwieszoną podarła na bielniku, i za te spyskane ziemniaki. Mam świadków na wszystko! Widzisz ją, jaka mądra, będzie se świnię wypasała na mojem! Nie daruję swojego! A na drugi raz, to twojej maciorze i tobie kulasy poprzetrącam! — jazgotała zajadle, że zaś i sąsiadka dłużną nie ostawiała, to już kłóciły się na zabój, wytrząchając do się przez płoty zaciśniętymi pięściami.

— Hanka! — krzyknął, zakładając se pług na ramiona.

Przyleciała rozwrzeszczana i rozczapierzona, kiej kokosz.

— A to wydierasz się, jaże na całą wieś słyhać!

— Swojego bronie! Jakże, pozwolę to, bych mi cudze świnię pyskały po zagonach! Tyla szkody robią, to mam być cicho? Nie doczekanie, nie daruję! — wykrzykiwała, jaże przerwał jej ostro:

— Ogarnij się, a to wyglądasz, kiej nieboskie stworzenie.

— Hale, do roboty będę się przybie-rała, kiej do kościoła, juści.

Popatrzył na nią wzgardliwie, boć wyglądała, jakby ją kto wyciągnął z pod łóżka, i, rzuciwszy ramionami, poszedł.

Kowal był przy robocie; już zdala szczykały brzękliwe, mocne głosy młotów, a w kuźni huczał ogień i było gorąco, kiej w piekle. Michał właśnie był odkuwał z pomocnikiem jakieś grubachne sztaby, pot mu zalewał twarz umorusaną, ale kuł niestrudzenie i jakby z zajadłością.

— Komuż to takie sielne osie?

— Do Płoszkowego wozal! Będzie wozil na tartak!

Antek przysiadł na progu, skręcając sobie papierosa.

Młoty wciąż były zajadle, trzaskając nieustannie raz, dwa, raz, dwa, i czerwone żelazo, bite ze wszystkij mocy, robiło się powolne, kieby ciasto, ugniatali go też na swoją potrzebę, jaże cała kuźnia dygotała.

— Nie chciałbyś to wozic? — rzekł Michał, wsadzając żelazo w ognisko i poruchując miechem.

— A bo to me młynarz dopuści, ponoć wzion wożenie na spółkę z organistą i ze Żydami jest za pan brat.

— Konie masz, porządek wszystek gotowy, a parob jeno się wałęsa kole chałupy. Niezgorzej płacą — szepnął zachętliwie.

— Juści co przydałby się jaki grosz na zniwo, ale cóż, młynarza przeciech o pomoc prosił nie będę.

— Trzaby ci pomówić z kupcami.

— Abo to je znam! Byś to chciał wsta-wić się za mną!

— Kiej prosisz, to pomówię, jeszcze dzisiaj do nich poletę.

Antek cofnął się prędko przed kuźnię, gdyż znowuj zagrały młoty, i iskry sypnęły się deszczem ognistym i parzącym.

— Zaraz przyjdę, obaczę jeno, jakie to drzewo zwożę.

I na tartaku robota wrzała, kiej w ulu, traczka już szła bez przerwy, piły z głuchym zgrzytem przeżerały długachne kłocze, a woda z krzykiem waliła się z kół w rzekę i spieniona, zmordowana gotowała się bełkotliwie w ciasnych brzegach. Z wozów zwałali chojary, ledwie okrzesane z gałęzi, aż ziemia jęczała, zaś sześciu chłopów obciesywało je do kantu, a drugie wносиły deski na słońce.

Mateusz prowadził całą fabrykę, że co trochę widać go było w innej stronie, dzielnie zwijał się, rządząc i bacznie wszystkiego doglądając.

Przywitali się przyjacielsko.

— A kajże to Bartek? — pytał Antek, rozglądając się po ludziach.

— Zmierzyły mu się Lipce i pociągnął za wiatrem.

— Że to poniektórych tak cięgiem te- lepie po świecie! Roboty widać masz na długo, tylachna drzewa!

— A chwaci na jaki rok abo i dłużej. Jak dziedzic ugodzi się ze wszystkimi, to z pół boru wytnie i przeda.

— Na podlesiu znowuj dzisiaj rozmie- rzają ziemię.

— Bo już co dnia zgłasza się ktosik do zgody! Barany juchy, nie chciały cię słuchać, żeby gromadą się ugodzić, to dziedzic da więcej, a tera robią w pojedynkę, cichaczem, byle prędej.

— Niektóren człowiek to jak ten osieł: chcesz, bych ruszył naprzód, to ciągnaj go za ogon! Pewnie co barany, dziedzic obrywa każdemu coś niecoś, bo z osobna się godzą.

— Odebralesz to już swoje gronta?

— Jeszczek nie wyszedł czas po śmierci ojcowej i nie można robić działów, alem se już upatrzył pole.

Za rzeką, pomiędzy olchami, mignęła jakaś twarz, zdało mu się, że to Jagusia, więc chociaż pogadywał, ale już coraz nie- spokojniej latał oczami po gąszczach nad- rzecznych.

— Taki gorąc, trza się iść wykapać — rzekł wreszcie i poszedł w dół rzeki, niby to wybierając sposobne miejsce, ale skoro go skryły drzewa, puścił się pędem.

Juści, że ona to była. Szła z motyczką swą do kapusty.

— Jagusia! — zawołał, zrównawszy się z nią.

Obejrzała się bacznie i, rozeznawszy głos i jego twarz, wychylając się ze szuwa-

rów, przystanęła trwożnie, nie wiedząc zgoła co począć, bezradna całkiem i spłoszona.

— Nie poznajesz me to? — szepnął go- rąco, próbując przejść do niej na drugą stronę. Ale rzeka w tem miejscu była głę- boka, choć wązka zaledwie na jakieś parę kroków.

— Jakże, nie poznałabym cię to? — oglądała się lękliwie za siebie na kapuśnisko, kaj czerwieniały się jakieś kobiety.

— Kajże się to kryjesz, że ani sposobu cię uwidzieć?

Kaj? Wygnała me twoja z chałupy, to siedzę u matki...

— Dyc i o tem radbym z tobą pomó- wił. Wyjdz, Jagno, wieczorkiem za smętarz. Powiem ci cosik, przyjdz! — prosił gorąco.

— Hale, żeby me kto jeszcze obaczył! Dosyc mam już za dawne... — odrzekła twar- do. Ale tak molestował, tak skamlał, że skruszało jej serce, zaczynało jej być żal.

— A cóż mi to nowego powiesz? po cóż to me wołas?

— Czym ci to już taki całkiem cudzy, Jaguś?

— Nie cudzy, ale i nie swój! Nie w głowie mi takie rzeczy...

— Jeno przyjdz a nie pożałujesz. Bo- jasz się za smętarz, to przyjdz za księży sad, nie baczysz to kaj? Nie baczysz Jaguś?...

Juże odwróciła głowę, takie ponsy na nią uderzyły.

— Nie pleć, dyc mi wstydno... — zesro- mała się wielce.

— Przyjdz, Jaguś, choćby do połnocka czekał będę...

— To poczekaj... — odwróciła się nagle i poleciała na kapuśnisko.

Patrzył za nią łakomie, i przejęły go ta- kie lubości i takie płomia wzburzyły krew, że gotów był lecieć za nią i brać ją choć- by na oczach wszystkich... Ledwie się już po- hamował.

— Nic, jeno ta spieka tak me roze- brała! — pomyślał, rozdiewając się spiesznie do kąpieli.

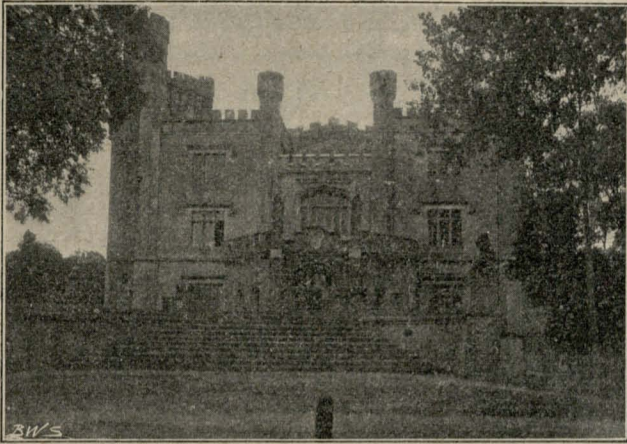
Przechłodził się galańcie i jął delibera- wać nad sobą.

— Że to człowiek słaby, kiej ten paź- dzierz, bele co go poniesie...

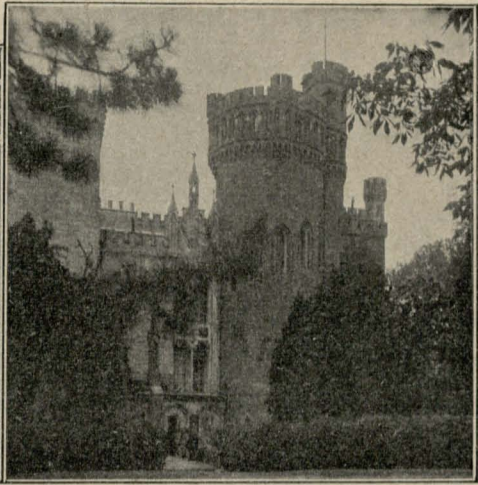
Wstyd mu się zrobiło, rozejrzał się, czy aby go kto z nią nie widział, i usilnie roz- ważał wszystko, co mu o niej powiadali.

— Takaś to ty, jagódko, taka! — myślał ze wzgardą i jakby z żalem, ale naraz przy- stanął pod jakimś drzewem i stał z przy- wartymi powiekami, bo jawiła mu się na oczach w całej swojej cudności.

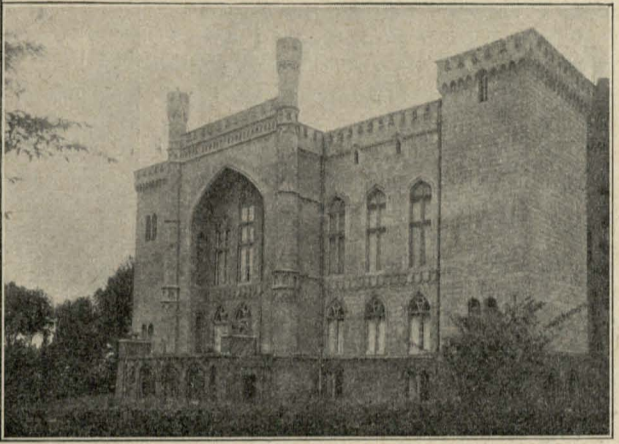
— Cheba takiej drugiej niema na wszyst- kim świecie! — jęknął i strasznie zapragnął jeszcze raz ją widzieć, jeszcze raz ogarnąć ramionami, przycisnąć do serca i napić się z tych warg czerwonych, pić na umór ten miód słodki, pić do dna...



Główny front zamku.



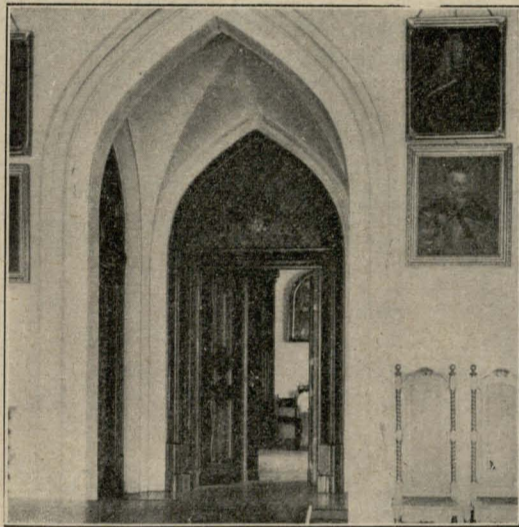
Główna baszta.



Zamek od strony parku.

Pamiętki wielkopolskie.^{*)}

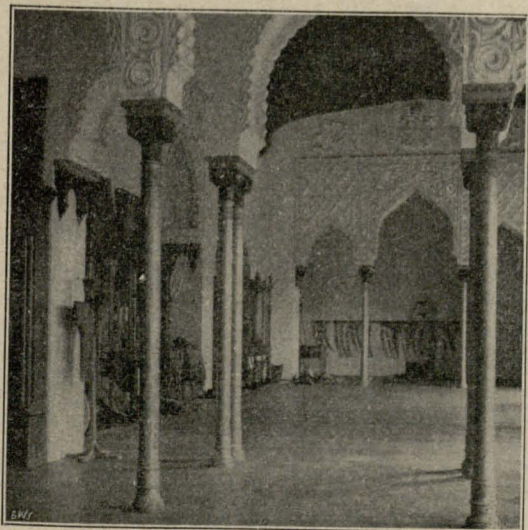
III. KÓRNIK.



Kórnik. Sala herbowa.

Zdała od zgiełku i gwaru, choć tylko o trzy mile od stolicy Wielkopolski, śnią dawny sen blasku i świetnych uroczystości, wrzawy wojennej i niszczącej pożogi, skrzętnej pracy i rozkwitu nauki, poważne mury zamku kórnickiego. Patrzyły na żądnych zabaw i uciech intrygantów Łódzia-Górków, zabiegliwych, uczonych i szlachetnych Ogończyków-Działyńskich, aż wreszcie osieroczone stały się dalekiem dziedzictwem zakopiańskiego pana.

Zadumany, spokojny zamek kórnicki czeka dalszych losów, nowych dziedziców. Szumią mu piersią



Kórnik. Sala muzealna.

rycerską jeziora rozległe, kołyszą go do snu buki krzepkie i dęby poważne, a gdy zbudzą go rano sygnaturki pobliskich świątyń, znów silny i ufny w siebie w okalającej przegłąda się fosie.

Lecz nie tylko on, ale jakby całe otoczenie usunęło się i zaszyło w ustroniu jezior i lasów, aby nie wpaść w szorstkie objęcia kroczącego obok postępu i jego tak potrzebnych, ale tak prozaicznych objawów. Obce mu są tory kolei żelaznej i szablony dworce niemieckie, obcy gorączkowy, szybki ruch świata, obce nowe, bezwzględne dla przeszłości życie. Stoi wśród włości i wód mu podległych, dobrotliwy pan dawnym, dawnym, dobrym znajomym; rzadko nawiedzi go twarz obca, nieżyczliwa.

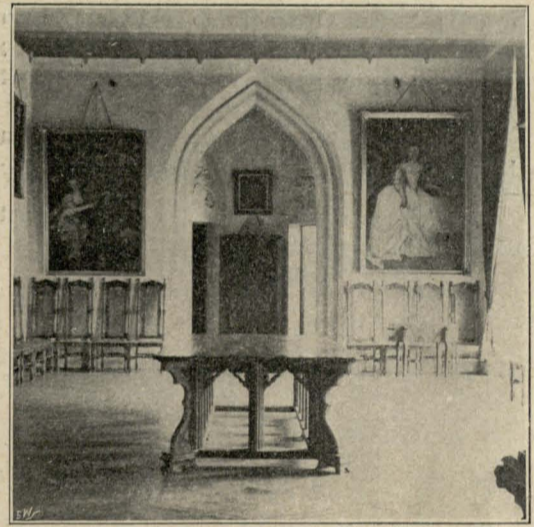
Dawniej było inaczej. Zbudowany przez osłabionego Mikołaja herbu Łódzia, biskupa poznańskiego, w drugiej połowie XIV wieku, stał się w krótkim czasie główną siedzibą potężnej i hałaśliwej rodziny Górków, którzy dzierżyli go przez dwa stulecia, do r. 1592. Szukał w nim schronienia przed zasłużoną karą pierwszy jego dziedzic; z niego odbył wspaniały wjazd do Poznania biskup Andrzej Czarnkowski; tutaj Stanisław Górka, ostatni z rodu, z wielką okazałością przyjmował Henryka Walezyusza i z szlachtą niecne na zgubę Rzeczypospolitej prowadził knowania. Siostra tegoż Stanisława, Barbara, wniosła całą fortunę Górków w dom Czarnkowskich, jej wnuczka zaś oddała ją Działyńskim, w których posiadaniu pozostała aż do wygaśnięcia męskiej linii, do r. 1880 **).

Zamek kórnicki nie cieszył się jednakże niezamąconem posiadaniem swych prawych dziedziców. Wśród zamieszek XVII wieku w toku najazdów Szwedów i Niemców, zajęli go Brandeburczycy, obwarowali i obsadzili załogą. Za czasów tych miasteczko, do niego się tulące, uległo kilkakrotnie pożarom a i on sam bardzo od tych gości nieproszonych ucierpiał.

Blizszych szczegółów o Kórniku dostarcza nam dopiero wiek XVIII, z chwilą, gdy dostał się w posiadanie Teofili, córki Zygmunta Działyńskiego, żony Stefana Szodrskiego. Przewyższająca znacznie męża zdolnościami, wybitne swej działalności zostawiła ślady.

Przebudowała zamek i przeobraziła ogród na modłę francuską, tak, że późniejszy dziejopis Edward Raczyński do najpiękniejszych w Polsce je zalicza. Urządziła dalej ptaszarnię i zaprowadziła hodowlę jedwabników, z których przędzy dworskie panny tkaniny jedwabne wyrabiała. Dzieła jej nie były jednakże trwałe; przeżyli ją i jej pamięć jedynie sprowadzeni przez nią liczni koloniści, Niemcy-protestanci.

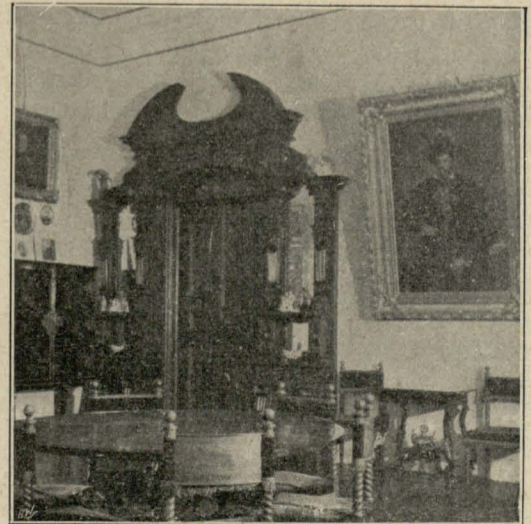
Już za czasów bezpotomnego syna Teofili i podczas sporu, który po jego śmierci r. 1795 wybuchł po-



Kórnik. Sala herbowa.

między Szodrskimi a Działyńskimi o zamek i dobra kórnickie, ogród i dwór uległy takiemu zaniedbaniu, że wojewoda Ksawery Działyński, po przysądzeniu mu spadku przez najwyższy trybunał, zamieszkał nie w Kórniku, lecz w pobliskim Konarzewie. Zamek stał się w krótkim czasie niemieszkalnym, czem tłumaczy się fakt, że sławna Klaudia Potocka, córka Ksawerego Działyńskiego, przyszła na świat w pobocznej a lepiej zachowanej oficynie.

Dopiero Tytus Działyński, mąż wielkiej nauki i gorący miłośnik ojczyzny, zajął się na nowo Kórnikiem



Kórnik. Salon przyjęć. Na obrazie Jan hr. Działyński, ostatni z rodu.

*) Zob. Nr. 16 i 22.

**) Wspomnienia Wielkopolski I, 286.

i chociaż wypadki polityczne kilkakrotnie nakazywały mu wyjazd za granicę, w ciągu lat kilkunastu przebudował zupełnie zamek, urządził park, wystawił piękną oranżeryę i sprowadził mnóstwo rzadkich drzew i krzewów, które po dziś dzień ogrodu prawdziwą są ozdobą *).

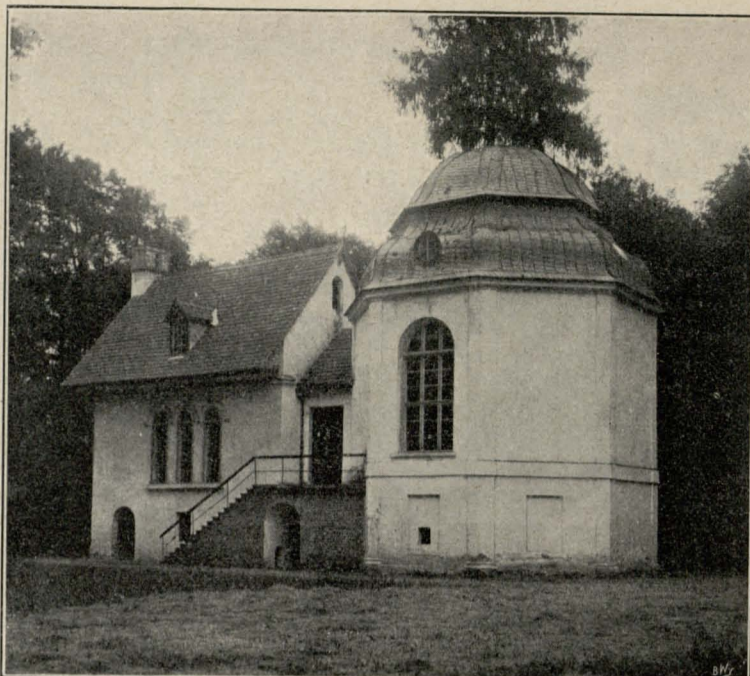
Główną jednakże jego zasługą jest urządzenie w Kórniku wspaniałej ogromnej biblioteki, którą przeniósł z Konarzewa z chwilą gdy w r. 1826 poślubił Celestynę Zamoyską. Trzy lata później rozpoczął działalność wydawniczą dziełem „Pamiętniki Jana Kilińskiego”; dalej wyszły stąd wiekopomne prace, zdobione tablicami i miedziorytami, jak 1841 r. „Statut Litewski”, 1848 „Genealogia Szydłowieckich”, a od r. 1852—60 ośm tomów znakomitego zbioru dokumentów do panowania Zygmunta Starego, p. tyt. „Acta Tomiciana”.

Kochający nadewszystko to, co swoje, prace przy odnowieniu zamku tylko polskim powierzył rękodzielnikom, a musiało rzemiosło podówczas stać wysoko, skoro dzisiaj jeszcze sztukaterie, posadzki, stoły, szafy i oddzwia budzą podziw zwiedzających.

Tytusowi Działyńskiemu, który gruntownie znał architekturę, podstawą przy przebudowaniu zamku były własne jego plany. Wyrosły i wykształcony w epoce kwitnącego romantyzmu, sięgnął do modnego wtedy gotyku, nadając mu cechę angielskiego stylu Tudor. O wzór tego rodzaju było mu nie trudno, jeżeli zważymy, że Anglicy trzymali się najdłużej tradycji gotyckich i budowle te najdłużej się u nich zachowały.

Co rozpoczął Tytus, z pietyzmem wykończył syn jego Jan. Przejął po ojcu szczerze zamiłowanie ogro-

*) Ogród zamkowy w Kórniku, Dr. Zygmunt Celichowski, Poznań, 1906.



Kórnik. Oranżerya, dzisiaj biblioteka w głębi parku.

dnicstwa, głęboką miłość nauki i oświaty. Zakładał więc szkoły i sprowadzał nasiona rzadkich drzew i krzewów, które pod umiejętną jego dłoń zapelniały powoli 100-morgową przestrzeń parku, uzupełnił zamek zbrojownią i galerią obrazów. Jak ojcu powstanie 30—31 roku, tak i synowi w pracy tej przeszkodziły wypadki 63—64 roku. Jeden i drugi za czynny udział w walkach skazani, aż do amnestyi przebywali za granicą. Po powrocie z tem większą energią cichej poświęcili się pracy. Hr. Jan jeszcze w Paryżu ogłosił nakładem biblioteki poważne prace matematyczne i 12 tomów „Pamiętnika Towarzystwa Nauk ścisłych”, a w kraju wydał pre-

klady dzieł klasycyznych i „Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski”. Bibliotekarzem Kórnikiem był dr. Wojciech Kętrzyński, od 1868 r. obecnie dyrektor Ossolineum we Lwowie, a od r. 1870 jest nim po dziś dzień dr. Zygmunt Celichowski, równocześnie plenipotent obecnego dziedzica, Władysława hr. Zamoyskiego, siostrzeńca ostatniego z rodu Działyńskich.

Aczkolwiek temu bezdzietnemu znowu spadkobiercy nakaz banicyjny Bismarka z r. 1885 nie pozwala na pobyt w Wielkopolsce, nic w kierunku nadanego Kórnikowi przez dziada i wuja nie zmieniono. Biblioteka służy nadal uczonym i wydaje dalszy ciąg „Tomicianów”, zamek utrzymywany jest w należytym porządku, park i szkoły rozwijają się znakomicie. Główna w tem zasługa także d-ra Celichowskiego, który z pieczołowitością i uszanowaniem tradycji utrzymuje w ładzie osierociły zamek i jego zabytki.

Kórnik jest ulubionym miejscem wycieczek poznańczyków, uczonych i bawiących w Wielkopolsce gości. Jednych pociąga piękna okolica Kórnika, przyległego Bnina i połączonego jeziorami Zaniemyśla; drugich białe kruki i cenne dzieła biblioteki, innych wnę-

trze zamku i zawarte w nim muzeum rozlicznych pamiątek.

A jednak w uroczym i pięknym tym zakątku ziemi wielkopolskiej jakiś smutek wkrađa się w serce wędrowca, jakiś lęk o drogie te mury i okalające je ciemne lasy i modre tonie jezior. Budzą się wspomnienia dawnych, odległych czasów i oko tęskne szuka nicy, wiążącej przeszłość z przyszłością. Lecz na marzenia nie pora; to też z nich otrząść się trzeba i stać się twardym, jak nieugięte mury zamku kórnickiego.

TADEUSZ JAWORSKI.

WOJNA KOBIECA.

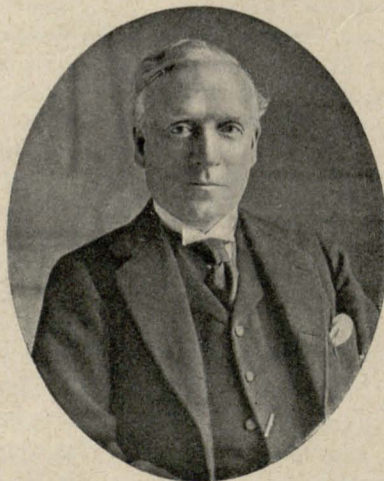
Przed dwoma tygodniami w Londynie „wytowna” lady wybiła szyby w gabinecie premiera Asquitha, przeciwnika równouprawnienia politycznego płci. Aresztującemu ją policyjantowi manifestantka zapowiedziała: „W przyszłości pojawią się tu bomby”...

Znamienna ta scena stanowi jeden z epizodów kampanii, prowadzonej przez sufrażystki angielskie. Na czele ich stoi Mrs Pankhurst. Ona to, widząc, że „konstytucyjna” droga memoriałów, delegacji i petycji, której się trzymają od lat sześćdziesięciu różne organizacje kobiece, nie prowadzi dość szybko do celu, zgrupowała wokoło siebie żywioły gotowe do akcji „rewolucyjnej”, a przytem posiadające wiele czasu i pieniędzy.

Założony w r. 1903 „Union political i social” (rozporządzający 60,000 rub. rocznie) w pierwszych zaraz miesiącach puścił w obieg około 50,000 odezw, ankiet i broszur uświadamiających, zorganizował tysiące mityngów po miastach i setki wypraw agitacyjnych po wsiach. Równocześnie prowadzoną rokowania z leaderami stronnictw politycznych, a przede wszystkim z przedstawicielami liberałów.

Obiecano im przy wyborach gorliwą pomoc w zamian za poparcie pożądanej reformy. Gdy liberalna większość doszła do władzy, „sojuszniczki” zażądały wprowadzenia w czyn zaciągniętych zobowiązań. Wobec wymijającej postawy gabinetu po-

stanowiono chwycić się „bojowej” taktyki zaburzeń i wrogich demonstracji. Zaczęło się to od zrywania mityngów, na których przemawiali posłowie antyfeministyczni. Z galerii parlamentu wyprowadzano coraz częściej siłą buntowniczką, zakłócając tok obrad obstrukcyjnym hałasem, lub też rzucając na głowy przedstawicieli ludu papierki, opatrzone napisem: „Żądamy praw wyborczych” albo: „Nie będziemy płacić podatków, nakładanych bez naszego udziału” i t. p.



H. H. Asquith, premier ministrów angielskich.

Po mowie tronowej (pomijającej milczeniem sprawę kobiecą) usiłowano osaczyć w parku pojazd królewski. Przypuszczano „systematyczne” szturmowanie do bram Parlamentu, rzucając się przebojem na straż z istic kobiecą bronią, z paznokciami. Oczywiście armia wielkobrytańska zwyciężyła. Płec słaba, pokonana siłą, zaczęła wojować podstępem. I oto pewnego dnia przed boczną furtką Izby zajechała niewinna na pozór platforma od przewożenia mebli. Chyłkiem wysuwające się postacie przedostały się niepostrzeżenie na korytarz, skąd je zawróciła brutalna przemoc męska.

Udaremniiony dostęp do Parlamentu skłania sufrażystki do przeniesienia terenu walki na „ulicę”. Coraz częściej przemawiają pod gołem niebem. Zwołują w parkach mityngi, gromadzące dziesiątki tysięcy uczestników, organizują na własną rękę (lub wspólnie z innymi związkami) olbrzymie pochody, przypominające demonstracje czartystów. Od czasu do czasu szeregi bojowniczek przebiegają miasto ze sztandarami, na których widnieje napis: „Votes for women”. Hasło to wypisano niedawno w Londynie na wszystkich rogach ulic i parkanach. Mężom stanu wdrożono je w pamięć w oryginalny sposób. Każda z sufrażystek (a jest ich 20,000) napisała do każdego z ministrów petycję z wymotywowaniem swych żądań, co więcej skłoniła trzy „sympatyczki” z poza „partyi” do nasładowania. Potoczyła się w ten sposób tak

zwana „kula śnieżna“, a raczej „lawina“ listów (gwoździ ostatecznego zgnębienia adresatów) nie marcowanych.

Nie wzrusza to ministrów. Tem gorzej dla nich. Będą mieli przed drzwiami kocią muzykę. Sufrażystki, dzwoniąc hałaśliwie, wywołują zbiegowisko, spisywanie protokołów i t. d. Sądu się nie boją. Po nad karę pieniężną przekładają zawsze więzienie. Sprawozdanie z działalności „związku“ za rok ubiegły zaznacza, iż w ciągu tego czasu 120 członkiń przesiedziało z kratą 423 tygodni. Pośród skazanych „przestępczyń“ znajdowały się obok robotnic przedstawicielki znamienitych rodów, a w tej liczbie siostra zasłużonego generała Wellingtona, córka czczonego przywódcy liberałów, Cobden-Landerson, 74-letnia staruszka, znana filantropka Miss Wenzel i t. d. Dało to oczywiście temat do sensacyjnych artykułów i mów, piętnujących „antywoleńskie represje“ rządu, któremu poprzysiężono srogą zemstę. Kandydaci liberałów odczuwają jej złowrogi wpływ przy wyborach dopełniających. Sufrażystki, wzmacniając opozycję (złożoną z torysów i Irlandczyków) przyczyniły się już kilkakrotnie do przechylenia głosów na szalę konserwatystów. Daremnie wierna rządowi kobieta „Liberal Federation“ nawołuje buntowniczkę do ugody i kompromisów, daremnie „Męska liga praw wyborczych kobiet“ dowodzi „sufrażystkom“, iż, zwalczając stronnictwa liberalne, zwalczają tem samem (wyznawany przez nie) program reform społecznych, zasadę wolnego handlu, ograniczenie wyszynku, a nawet sprawę własną. Konserwatyści dają swoim „unionistkom“ i torysowskiej „Primrose Leque“ nadzieje nader nieokreślone, podczas gdy stojąca obecnie u władzy większość liberalna zdobyła się na ważny czyn: w roku zeszłym udzielono kobietom prawa wybieralności do instytucji samorządnych, a uchwalony w roku bieżącym bil o równouprawnieniu politycznym płci przekazano specjalnej komisji. Su-

frażystki nie wierzą w prowadzenie w życie tego „bilu“, ponieważ rząd nie uznał go za swój.

Domagają się tego decydującego kroku w ciągu sesji najbliższej, a tymczasem grożą dalszym terorem. Liberalowie ze swej strony chwytają się wypróbowanej w podobnych sytuacjach broni. Odsyłają swoje antagonistki do „domu kotysać dzieci“. Ośmieszają je w różny sposób. *Daily News* podaje rycinę, wyobrażającą podartą skarpetkę, a tuż obok żałosliwą skargę: „Tak wyglądają moje skarpetki od czasu, gdy żona została sufrażystką“. Inna karykatura przedstawia sufrażystkę, idącą pod rękę z pijanicą (wydrwiwając sojusz z konserwatystami, ochraniającymi prawa wyszynku).

Times dowodzi, iż nadanie kobietom praw wyborczych według obowiązującego cenzusu mieszkaniowego pozbawi głosu żony i córki, zamieszkujące przy „głowach domu“, a udzieli go kobietom, zajmującym lokale na własne imię, co może wytworzyć przedstawicielstwo niepożądane. A dalej ostrzega, iż, gdy panie otrzymają przywileje polityczne, pozazdroszą im tego ich pokojówki i kucharki; niezadowolone obejmie ludowe warstwy kobiece, wzmacniając szeregi domagających się swobód proletaryuszów.

Istotnie, sprawa kobieca, wchodząc w życie, wchodzi tem samem w odmet krzyżujących się konfliktów społecznych. Rozpatrywano ją z punktu widzenia interesów klasy robotniczej na ostatnim zjeździe „Labour Party“ w Belfast. Wśród burzliwych dyskusji zarysowały się dwa poglądy: Keir Hardy imieniem „Niezależnej Partii Pracy“ stawiał: „sprawiedliwość ponad względy klasowe i w myśl tę uważał za konieczne domagać się bezwzględnego uchwalenia, iż płeć nie stanowi przeszkody przy korzystaniu z praw obywatelskich“, Auelch, mający za sobą większość opinii proletariatu, wypowiedział się przeciw „częściowym reformom“, żądając usunięcia wraz z przywilejem płci wszelakich ograniczeń i cenzusów. Toż samo hasło (w myśl uchwały sztutgardzkiej) głosi Socjaldemokracja angielska i idący z nią ręką w rękę związek „Adult Suffrage Society“, domagający się głosowania dla *wszystkich* pełnoletnich.

A cóż na to lord Asquith? Zagrożony przez prawicę, szuka pomocy na lewicę.

Dowodzą tego słowa, wypowiedziane ostatnio do delegacji (złożonej z 60 członków Izby gmin), która zapytywała premiera, jak się zamierza zachować wobec wywołującej coraz większe wrzenie sprawy równouprawnienia politycznego płci:

„Rząd przedłoży na sesji jesiennej projekt, dotyczący zdemokratyzowania ordynacji wyborczej; o ile w tymże czasie wniesionym zostanie prywatny wniosek, domagający się rozszerzenia tych nowych praw na kobiety, gabinet zachowa się wobec niego neutralnie“.

Sprawa kobieca złączona została tem samem ze sprawą szerokich warstw ludowych. Sufrażystkom podano „orzech“, do którego zgryzienia nie mogą dalej liczyć na pomoc konserwatystów...

I. ORKA.



Pochód sufrażystek angielskich na Trafalgar Square w Londynie.

SONET.

Tak cię błogo, młodości, wspomina wiek stary,
Tak barwi cię wszystkimi kolorami tęczy
I rojeń twoich wątek tak ceni pajęczy,
Twe tryumfów i szczęścia złotoskrawe mary!

Naprzód! hasło tytanów, głos mocy i wiary,
Na strunach twojej duszy drga ciągle i dźwięczy,
A czerw zwątpień i widmo klęski cię nie dręczy:
Przepotężnaś złudzeniem i żądzą bez miary.

Więc szczęsną cię, młodości, świat zowie zazdrosny.
Czyś ty szczęsna? czy chmurne nie są często wiosny?
Ileż nieraz mąk rodzi moment szału marny!

I cedr jęczy śród walki z wichrów siłą wrogą,
I gwiazdy płonąć blaskiem bez mroku nie mogą;
Nawet róża cień rzuca: cień zawsze jest czarny.

WL. M. DĘBICKI.

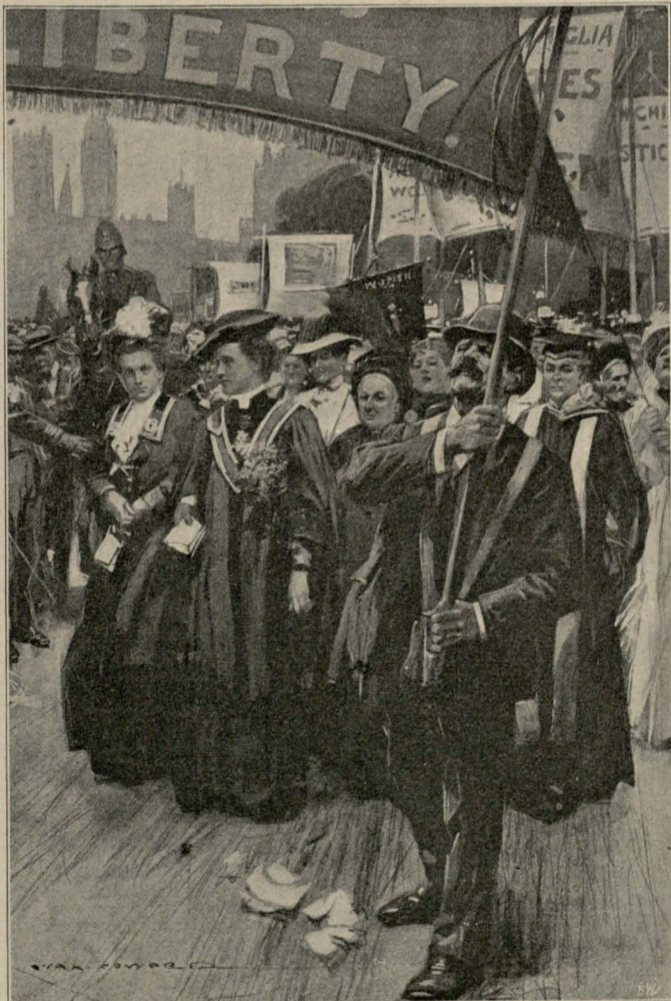
27

I. N. R. I.

Ponieważ oddał życie pod kłamstwa ciosami,
Ponieważ Go zabiła podłość—zmarłychwstanie...
Lud weźmie Jego słowa, jako przykazanie,
Stopy jego posągów myć będzie serc Izami.

Nie płaczcie, przyjaciele... Bowiem nie pomogą
U grobu postawione przeciwników strażce...
Potomność na kolanach Jego śmierci drogą
Chodzić będzie i złote wzniesie Mu ołtarze.

MICHAŁ RÓG.



Pochód sufrażystek angielskich. Na czele panie: Mrs. Fawett, Lady Baffour, Miss Dariés, dr. Bryant.

Do rzędu podręczników fizyki przybywa „Zarys fizyki“ prof. Adolfa Kadescha, w przekładzie p. Jana Babińskiego (Warszawa, wyd. Gebethnera i Wolffa). Dziełko to przeznaczona autor do nauczania fizyki w klasach niższych; zgodnie więc z projektowanym w naszych szkołach wykładem przygotowawczym nauk przyrodniczych (gdzieniedzie już wprowadzonym), poprzedzającym kurs systematyczny przedmiotów, podręcznik przypada na klasę trzecią.

Istotnie, ogólna treść książki i objętość odpowiada takiemu zakresowi. Wykład odznacza się nadzwyczajną zwięzłością, którą można by zaliczyć do zalet, gdyby jej nie stosowano zbyt do przykładów lub objaśnień.

Nauka początkowa fizyki opiera się głównie na przykładach z najbliższego otoczenia, na zjawiskach, znanych dziecku ze strony faktycznej. To też zarówno wykład indukcyjny, jak dedukcyjny, musi wiele miejsca poświęcić na rozważenie lub choćby przytoczenie zjawisk i doświadczeń, jeżeli to pierwsze ma być obowiązkiem nauczyciela.

Tymczasem praca Kadescha podaje twierdzenia i określenia, a stroną realną uwzględnia bardzo mało. Dość przytoczyć pojęcie *siły*, tak ważne a trudne dla młodocianych umysłów: „siłą nazywamy to, co zmienia stan ciała“ — mówi autor; przykład: poruszenie i zahamowanie pociągu. „Siłę określa jej wielkość, kierunek i punkt zaczepienia“. Oto główna część paragrafu „Siła“, liczącego 12 wierszy!

Takie zdania, niby nagłówki, nie dające najmniejszego wyobrażenia o rzeczy i wymagające obszernego wykładu nauczyciela, oraz notatek uczniów — nie mają racji bytu. § „Źródła ciepła“ — obejmuje 6 wierszy!

W innych zaś miejscach drobniaczkom technicznym udzielono po kilka stron (telegraf zajmuje 3 paragrafy na 5 stronach). Niekonsekwencja ujawnia się też w stosowaniu matematyki: przy blokach pojedynczych niema wzoru, wyrażającego warunek równowagi, natomiast przy bloku złożonym, i to jednym z zawilaszonych w teorii (różnicowym), spotykamy równanie algebraiczne.

W układzie do wykroczeń przeciw konsekwencji należy rozdział o trojakim stanie skupienia ciał dopiero na str. 19, gdy o cieczach i o gazach mowa już przedtem w paru miejscach (str. 9, 12).

Ryciny, nader liczne i wyraźne, pomagałyby więcej do zrozumienia tekstu, gdyby nie były wyłącznie kreskowe.

Zalety i wady oryginału pozostały i w tłumaczeniu. Ścisłość naukowa, cechująca podręcznik Kadescha, traci wszakże niejednokrotnie pedanterią iście niemiecką: w określeniach i twierdzeniach mamy nagromadzenie wyrazów, które mają się przyczynić do większej dokładności pojęcia, ale mogą być niedość przystępne dla młodocianych umysłów.

Np. określenie wypadkowej równoległoboku sił: „Wielkość jej wyraża się wielkością odcinka, będącego przekątną równoległoboku, utworzonego z danych sił“. Albo np. ciało świecące autor odróżnia od nieświecących w zdaniu: „Ciało świecące wywołuje w nas wrażenie światła, nie posiłkując się żadnym nieprzerwanym szeregiem ciał, znajdujących się między naszym organem wzroku i ciałem świecącym“.

Nie brak też i tautologii w rodzaju: „Utrwalamy obraz w kąpielu utrwalającej i tonujemy w kąpielu tonującej“.

W dziedzinie geografii rozumowej wyszedł w Łodzi (Biblioteka Samokształcenia) przekład pracy A. Kirchhoffa „Człowiek i Ziemia“, przez St. L. Majewskiego. Pomimo tytułu ogólnego, znać od początku, że autor napisał rzecz dla Niemców; potęga państwa niemieckiego i jego dążenia występują tu i owdzie, dyskretnie a logicznie.

Poza tem dzieło zawiera wiele zajmujących, chociaż nie nowych rozważań przyrodniczo-geograficznych: o morzu w życiu narodów, o ludach stepów i pustyń, wpływie gór i t. p., wreszcie określenia narodu i państwa. W tym ostatnim względzie autor dowodzi, że nigdy nie było państwa wyłącznie narodowego, i go dzi się ze zdaniem Rénana, że naród jest to duży związek społeczny, oparty na wspólnej ofiarności w imię jednoci narodowej, a „był narodu jest to z dnia na dzień powtarzane głosowanie powszechne“. Dalej „czymy są dopiero dowodem, że pewne rzesze stanowią naród“.

„Powinno się wreszcie wytworzyć przekonanie — powiada Kirchhoff, że zdrowe państwa mają być wyrażicielami wszystkich istotnych potrzeb swej ludności“, i kończy zgodnie z Quatrefages'em, że wszelkie dążenia polityczne, oparte na etnologii, są absurdem!...

Książkę czyta się łatwo. Przekład jednak nie jest wolny od naleciałości obcych, zarówno w nazwach (w Sawoju, do Achenu, Laplandzcy), jak zdaniach potocznych: paś *swoje* kozy, odbywa *swą* podróż i t. p., albo: weszli w skład; coś *gnało* człowieka; ziemia, brzegi której...; przyroda zmusiła *mieszkać* eskimę (?) i t. p.

„My ludzie i przyroda“ (nakł. J. Mortkowicza w Warszawie) jest czytanką dla młodzieży starszej i dorosłych. Autorki, panie Sempołowska i Unslicht-Bernsteinowa, zebrały w niewielkiej książeczce (118 str.) wypisy cenniejszych dzieł, poruszających zagadnienia z życia zwierząt i roślin, z ludzkiej etyki, z dziejów świata, mając na myśli względy natury etycznej.

Istotnie dobór materiału z prac Dygasińskiego, Nałkowskiego, Mickiewicza, Tołstoja, Flammariona i in. może podziałać na uczucie, pobudzić umysł do zastanawiania się nad czynami i stosunkami ludzkimi, choć niekoniecznie do samodzielnej — jak chcą autorki — oceny faktów lub do wyprowadzania samodzielnych wniosków. Do tych ostatnich mogą doprowadzić długie i sumienne studia, i to jeszcze przy wybitnej indywidualności.

To też, jakkolwiek umiejętnie i celowo dobrano urywki, jakkolwiek książkę od początku do końca każdy, nawet dorosły, przeczyta z zacięciem, jednak wstępu do wniosków ogólniejszych trudnoby się doszukać; zresztą chyba i trudnoby go wymagać od dziecka, mieszczącego obok „Psalmu miłości“ Krasińskiego, „Do Litwy“ Mickiewicza, odczyt Heilperna o „Ziemi, słońcu i gwiazdach“, pracę Maeterlincka o pszczołach, „Idzie zima“ Reymonta i t. p.

Zwolenniczki postępu, panie S. i B., uważają swą pracę za pierwszą próbę oparcia się w wychowaniu *na potrzebach dnia jutrzejszego*, a nie na wymaganiach dnia wczorajszego. Słusznie unikają moralizowania, jako też ukrywania przed młodzieżą spraw t. zw. drażliwych, o których ta młodzież rozmawia poza naszymi plecami.

Zupełnie tedy jest na miejscu taki np. artykuł Nussbauma o powstawaniu pierwszych śladów życia na ziemi, omawiający rozwój życia pierwotnego z materii nieożywionej (samoródtwo); podobnie urywek z odczytu Jezierskiego o przekształcaniu się istot organicznych. Natomiast „Pszczoły“ Maeterlincka opisem zapładniania królowej, wzmiankami o narządach rozrodczych samców, woreczku nasiennym matki i t. p., nic nie nauczą, ale za to pobudzą myśl czytelnika w kierunku bynajmniej nie „etycznym“.

Można się zgodzić na rozważanie tych kwestyi lub nie, przy wykładzie zoologii; ale w paru słowach „czytanki“ nawet gorący szermierz postępu, nie liczący się z wymaganiami „dnia wczorajszego“, uzna taki dyletantyzm za szkodliwy dla samego postępu.

„O pochodzeniu człowieka“ mamy dwie prace: przekład z W. Bölschego przez dra W. Szymanowskiego, oraz broszurkę oryginalną p. St. Krauja. Już karta tytułowa autora niemieckiego daje pojęcie o tendencji dziełka; wyobraża ona człowieka z epoki lodowej, stojącego na cielsku pokonanego mamuta. Jest to symbol ludzkości całej, której dzieje sięgają w praświaty potworów; te światy prastare, ta pierwotna, zwierzęca natura człowieka leży pokonana u jego stóp, zwyciężona przez niego samego.

Założenie takie stara się złagodzić konflikt ewolucjonizmu z pojęciami religijnymi. Autor dowodzi, na zasadzie danych embryologicznych, anatomicznych i geologicznych, wreszcie na słynnym okazyje małpolda (Anthropotectus erectus), słuszności poglądów Darwina i Haeckla. Jednocześnie wszakże przekracza tu i owdzie dane faktyczne i wyraża przekonanie, że łączność ze światem zwierzęcym nie jest żadnym poniżeniem dla człowieka myślącego; przeciwnie, poczucie to wzmacnia świadomość własnej siły umysłowej i moralnej. „Kto naprawdę życie i siłę czerpie w głębokim poczuciu religijnym — kończy autor — tego nie powinno zachwiać przekonanie, że przodkowie jego nosili włochate skóry zwierzęce na barkach, a nawet, że jeszcze dawniej ich własne ciało było obrośnięte futrem zwierzęcym. Poezya

nie zginęła dlatego, że słońce nie wschodzi naprawdę, ale ziemia się porusza, ani dlatego, że o tem wiemy... Prawdziwym uczuciem religijnym nie zachwieje szara rzeczywistość dziejów człowieka!“

Do podobnych wniosków co do stanowiska człowieka, jako najwyższej istoty, powstałej na drodze ewolucji, dochodzi p. St. Krauz w zeszycie „Książnicy ludowej“; niema tu wprawdzie rewelacji filozoficzno-moralnych. Pracę przeczyta z zajęciem i pożytkiem nie jeden z samouków.

W teje „Książnicy“ wyszła broszurka M. Heilperna: „Co to są nauki przyrodnicze?“. Stanowi ona wstęp do szeregu prac tegoż autora z poszczególnych gałęzi przyrody; obejmuje zadanie i podział nauk przyrodzonych.

„Opowiadania przyrodnicze“ J. Chrzęszczewskiej i W. Haberkantówny (wyd. Gebethnera i Wolffa w Warszawie) rozpoczynają serię czytanek, jakie kolejno mają objąć wszelkie zbiorowiska w przyrodzie (łąki, lasy, pola, ogrody, góry i t. p.).

Pierwsza książeczka opowiada o stawie i jego mieszkańcach; krótkie, żywo napisane historyjki zwierząt i roślin zaznająmają działość (tylko nie *uczących się!*) z przyrodą stawu i niezawodnie obudzą bardziej zamiatowanie do przyrody, niż opisy, choćby najlepsze i najprzystępniejsze. Należałoby tylko obok nazw, przyjętych przez autorki, podać inne, częściej używane, wobec chwiejności naszej terminologii.

W dziedzinie zoologii nie mieliśmy dotychczas ani jednego dzieła do określenia owadów. A iluż to młodzieży zbiera z upodobaniem motyle lub chrząszcze, nie mogąc dać sobie rady z ich rozpoznawaniem. Obecnie zwłaszcza, gdy częste wycieczki przyrodnicze powiększają zastęp młodocianych entomologów, każde ułatwienie w tym względzie bardzo jest pożądane.

To też „Chrzęszcze polskie“ K. Kulwiecia (wyd. E. Wendego w Warszawie), stanowiące pierwszy klucz w języku naszym, niezawodnie znajdą się w rękach zbieraczy, tem bardziej, że zawierają wskazówki co do poszukiwania, urządzania i przechowywania zbiorów, podane przez wytrawnego praktyka.



ALEXANDER KRAUSHAR.

TYPY I ORYGINAŁY WARSZAWSKIE

z odleglejszej i mniej odległej przeszłości.

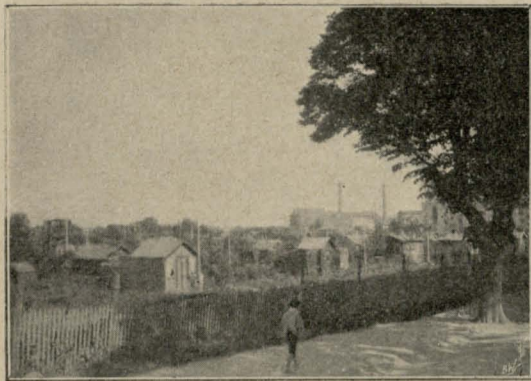
OBWARZANKARZ I MAŚLARZ.

Szytych zdolnego za Królestwa kongresowego Dietricha zachował nam typ uliczny przekupnia, roznoszącego po ulicach Warszawy obwarzanki i masło w oryginalnego pokroju dzieży. Typ to zupełnie wygasły. Na szytych,



pochodzącym ze zbiorów Meyeta, widzimy przekupnia, ubranego już z waszecia, w krótkiej sukmanie, z rogatywką fantazyjnie ułożoną, w łapciach z cholewkami, wyglądającego nabywców smacznego, dla dziatwy pożądanego pieczywa.





Kolonie altankowe pod Kopenhagą. Fot. dyr. Skotnicki.

Wycieczka rolnicza do Danii.

Dużo wody. Ze wschodu cichy, łagodny, spętany przez liczne wyspy Bałtyk, z zachodu dzikie morze Niemieckie; wewnątrz liczne jeziora. Rzadkie lasy, bukowe przeważnie, wielkie łąny pól uprawnych i łąk na prawie jednostajnych równinach.

Takim jest krajobraz duński. Źródłem malowniczości jest woda; źródłem dobrobytu i kultury—ziemia.

Rezultaty pracy na tej ziemi pojechaliśmy oglądać. I przekonaliśmy się, że kultura rolna jest tu wyższa, o bardziej jednostajnym poziomie, niż w Prusach.

Dania jest krajem własności drobnej i kultury chłopskiej. Ministrem rolnictwa jest rolnik praktyczny—chłop; prezesem towarzystwa rolniczego królewskiego i dyrektorem akademii rolniczej jest również rolnik praktyczny—chłop. Wynika stąd niezmiernie praktyczność polityki rolnej, wyrażająca się wyłącznie w popieraniu przez rząd inicjatywy indywidualnej we wszelkich gałęziach rolnictwa i nauki rolnictwa, jak również w typie gospodarstw, w których nic nie jest obliczone na optykę, na wywarcie wrażenia, lecz ściśle, najskromniej służy swemu celowi. W jednym z najwybitniejszych gospodarstw hodowlanych w Danii, w Kolekollie, widzimy zabudowania gospodarskie i dwór zupełnie skromne, niezbyt różniące się od zagrody włościańskiej.

Dania jest krajem hodowli. Wytworzyła własną rasę czerwonego bydła duńskiego, uważanego przez niektórych hodowców za bardzo dobrą do poprawiania naszego bydła miejscowego (jeden z uczestników wycieczki, p. Karol Świacki z Bielicy, zakupił w tym celu kilka buhajów), ulepszyła i przystosowała do swoich potrzeb rasę angielską trzody chlewnej. Hodowla nie jest na drobnych gospodarstwach bynajmniej niższa, niż w większych; cechą pierwszych odrębną jest może hodowla na większą skalę drobiu.

Ten jednostajny poziom odnajdujemy również w typie życia, który daje nam pojęcie o wysokim dobrobycie. W każdej chacie znajdziecie komfort zupełny; znajdziecie go nawet w mieszkaniu parobka, znajdziecie tam, jak wszędzie, bicykl, narodowy środek komunikacji w Danii (w Kopenhadze przypada jeden na sześć mieszkańców).

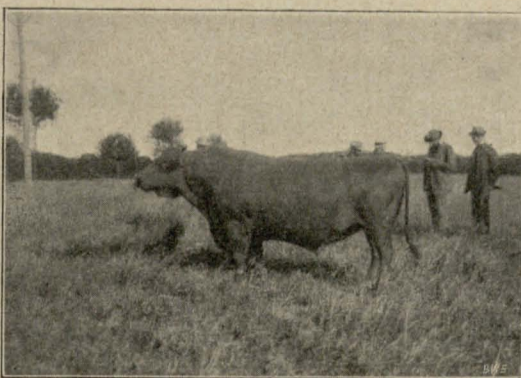


UCZESTNICY WYCIECZKI ROLNICZEJ DO DANII I SZWECYI. Od lewej strony ku prawej pp.: Zygmunt Choromański z Gostkowa, dyrektor Towarzystwa melioracyjnego inż. Czesław Skotnicki, Stanisław Czekanowski z Koźmina, Ignacy Bojanowski z Gruduska, Antoni Bańkowski, słuchacz wyższych kursów rolniczych w Warszawie, Leon Łazucki z Drozdów, Władysław Kurcysz z Wojciech, Antoni Wieniawski, sekretarz Centralnego Towarzystwa Rolniczego i kierownik wycieczki, Wojciech Sokółowski z Woli Bajkowskiej, Antoni Jaworski z Zator, Stefan Czermiński z Łęcznej, Kazimierz Aufsztag, dyrektor stacji doświadczalnej w Kutnie, Adolf Henneberg z Nowego Dworu, Eugeniusz Römer z Cytowian, Karol Świacki z Bielicy. Fot. L. Włodek.

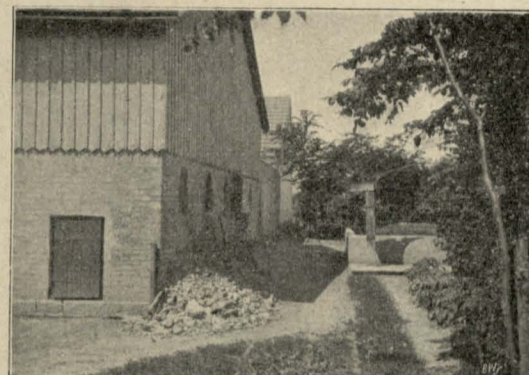
Dobrobyt powszechny ma stronę odwrotną. Zwiedziliśmy niewielkie gospodarstwo włościańskie pod Taastrup; obejrzelśmy doskonale zabudowania, inwentarz, hodowlę kur, w wozowni znaleźliśmy elegancki wolant, weszliśmy do porządnego urządzonego dworku. Dziwiło nas, że nigdzie nie słyszeliśmy szczebiotu dzieci. Rzecz wyjaśniła się wkrótce w rozmowie. Gospodarz oświadczył nam, że dzieci mieć nie chce, bo go na dzieci nie stać; to, co zarabia, wystarcza zaledwie na jego potrzeby. Odpowiedź ta osłabiła znacznie ogólne wrażenie dobre; lud, który z powodu dobrobytu rozmnażać się nie chce, może zginąć zaduszony przez ten dobrobyt.

Źródłem pomyślności materialnej jest oczywiście stara kultura rolna, pracowitość ludu, oświata, obok tych wszystkich zaś czynnik swoisty—współdziałanie. Nigdzie chyba współdzielczość nie święci takich tryumfów, jak w Danii; oczka sieci stowarzyszeń kooperacyjnych oplatają się wszędzie i około wszystkich. Każdy drobny gospodarz należy przedewszystkiem do mleczarni spółkowej, dokąd odstawia mleko, następnie do jajczarni współdzielczej, która sprzedaje mu jaja, wreszcie do rzeźni kooperacyjnej, do której dostarcza wieprze. Dom wybuduje mu spółka współdzielcza, towary kupuje w sklepie stowarzyszenia, słowem wszystkie potrzeby zaspokoi mu współdziałanie. Ale sklepy współdzielcze znajdujemy wszędzie, tu więc cechą charakterystyczną będzie kooperatywa wytwórców, oparta na bardzo małych udziałach, splecanych najczęściej dostarczaniem produktami.

Rolnictwo duńskie cierpi na brak robotnika, dotkliwy, jeżeli się zważy bardzo znaczną produkcję buraków. Brak tak wielki, że zwraca uwagę tych, którzy Danie znali poprzednio i którzy spostrzegają pewne obniżenie kultury rolnej. Duńczycy starają się zapobiec mu przez sprowadzanie robotników z zagranicy. Między innymi pracuje tu około 2,000 robotników polskich. Olbrzymio przeważają wśród nich kobiety z Galicji. Są zadowolone, jakkolwiek powodem jest nie szczególnie dobra płaca, lecz niska skala życiowa, pozwalająca na przywożenie do kraju względnie dość znacznych oszczędności. Kultu-



Wspaniały okaz. Buhaj stada czerwonej rasy duńskiej w Kolekollie. Fot. dyr. Skotnicki.



Zabudowania drobnego gospodarza Larsa Jensena pod Taastrup. Fot. dyr. Skotnicki.

ralnego wpływu otoczenie na nich nie wywiera, nie utrzymują z Duńczykami żadnych prawie stosunków.

Byłoby to mniej więcej wszystko, co w krótkiej notatce o wrażeniach powiedzieć można. Kilka słów jeszcze o stolicy.

Kopenhaga jest miastem bardzo ładnym, szczególnie z powodu masy przepysznej roślinności, zawdzięczającej rozwój wilgotnemu klimatowi. I stolicy i krajowi dodaje uroku pora spóźnionej wiosny, pora prawie białych, tak jasnych nocy, że około północy można jeszcze prawie istnieć bez światła sztucznego.

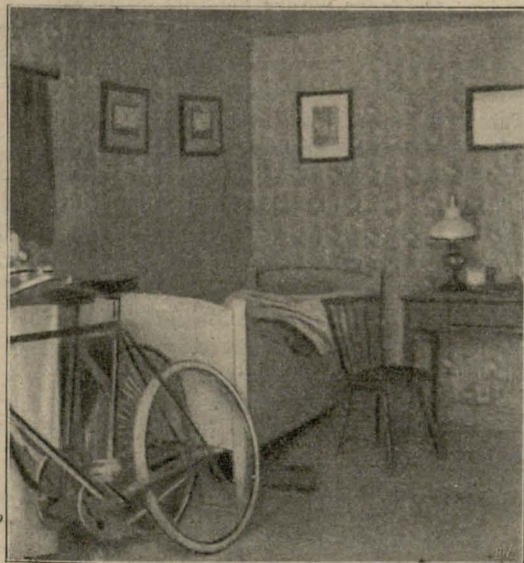
Wielu starych pamiątek miasto nie posiada. W nowych budowlach znać usiłowanie wskrzeszenia stylu staro-skandynawskiego, udatne lub nie, w zależności od stopnia talentu twórców. Pod miastem spostrzeżenie rzecz ciekawą: kolonie altankowe. To mieszczuchy, pragnący odetchnąć świeżym powietrzem, wynajmują małe działki gruntu, stawiają na nich domki, niby z kart, i wieczorami oddają się ogrodnictwu. Jeszcze dalej całe linie domów jednostajnych, stawianych przez spółki budowlane, ułatwiają mieszkańcom nabywanie domów własnych na dogodnych warunkach. A doskonała komunikacja niweczy znaczne oddalenie.

Dwa muzea. Jedno, bardzo bogate i jednolite, Thorwaldsena, drugie, również bogate, fundacji bogatego piwowara, Jakobsena. Kto pije w Danii jego piwo, sprzyja rozwojowi sztuki rodzimej.

Pod Kopenhagą bardzo ciekawe wiejskie muzeum retrospektywne. Wnętrze chaty duńskiej z XVII stulecia świadczy dowodnie, że pan Jan Chryzostom Pasek umiał patrzeć i umiał dokładnie opisywać.

Ogólne wrażenie kraju i jego stolicy jest bardzo miłe. W kąpielach morskich bawi tu w tym roku kilkanaście rodzin polskich. Byłoby dobrze, aby ilość ta zwiększała się z każdym rokiem. Odległość niewielka (26 godzin od Warszawy), krajobrazy ładne, otoczenie kulturalne mogą zachęcić i wpłynąć na wytworzenie prądu w tym kierunku.

A ludzie? Ludzie są prości, dobroduszni, może nieco ociężali. Od tych Duńczyków, których odwiedziliśmy, doznaliśmy wiele gościnności; niezmordowanie odpowiadali na nasze niezliczone pytania. Tylko... kie-



Wnętrze mieszkania robotnika rolnego. Fot. dyr. Skotnicki.



Typy ludowe duńskie. Kowal Nielsen z żoną. Fot. A. Wieniawski



Dania. Zagroda osady trzymorgowej Konrada Nielsena.
Fot. A. Wieniawski.

dy rzecz dochodziła do najważniejszych szczegółów, dochodu i rozchodu czyli rentowności gospodarstw, wzywano nagle na pomoc zupełną nieznaną języka niemieckiego, którym posługiwaliśmy się w rozmowach, jakkolwiek przed chwilą jeszcze zapytywany władał nim znakomicie.

A dwa pytania wzbudzały wesołość. Nie zadawaliśmy ich potem. Pytania, czy wszyscy pisać i czytać umieją i czy majątki są drenowane.

Szczęśliwy kraj...

L. WŁODEK.

Zjazd słowiański.

Ledwie zamknęły się za nim podwoje wspaniałej „radnicy” praskiej, a już pełen jest świat niespokojnego zgiełku głosów niecierpliwych, siłujących się odbyty zjazd słowiański ściśle zważyć i ocenić. Gorliwość to przedwczesna i tem mniej chwalebna, że zaprawiona mnóstwem apriorystycznych uprzedzeń; w zjeździe słowiańskim większość jego obecnych krytyków i apologetów odnajduje bez trudu to, co w imię tej lub innej doktryny odnaleźć pragnęła. Więc dla jednych—to „śmieszna komedia”, dla innych „początek nowej ery”, dla innych jeszcze—„zaparcie się idei narodowej dla bałamutnej idei słowiańskiej”... O formułkę w ocenie zjawisk społecznych zawsze najłatwiej, formułka ma tę szczęśliwą własność, iż uwalnia od niełatwego nieraz analizowania i wyciągania ściśle logicznych wniosków. Kto jednak tę ostatnią metodę uważać zechce za jedynie słuszną przy wydawaniu sądów o zdarzeniach wielkiej wagi, dla tego zjazd praski długo jeszcze będzie jeno tematem dociekań, będzie faktem, którego dziejowa wartość okaże się dopiero w skutkach.

Dziś rzecz można to jedno chyba: iż kongres słowiański w Pradze był wielką manifestacją grupy pokrewnych ludów, które uświadomiły sobie wreszcie w całej pełni grożące im niebezpieczeństwo i przedsięwzięły próbę, zali z niebezpieczeństwem tem nie da się walczyć społem. Ten charakter miał zjazd słowiański przedewszystkiem.

Ostrożność i rozważa, a wreszcie rozumienie, iż wspólnotę zbudować można i oprzeć jedynie na związku dążeń kulturalnych, praktycznych—nadały mu pozornie cechę apolitycznej narady, ale miał on ją przez krótką chwilę.

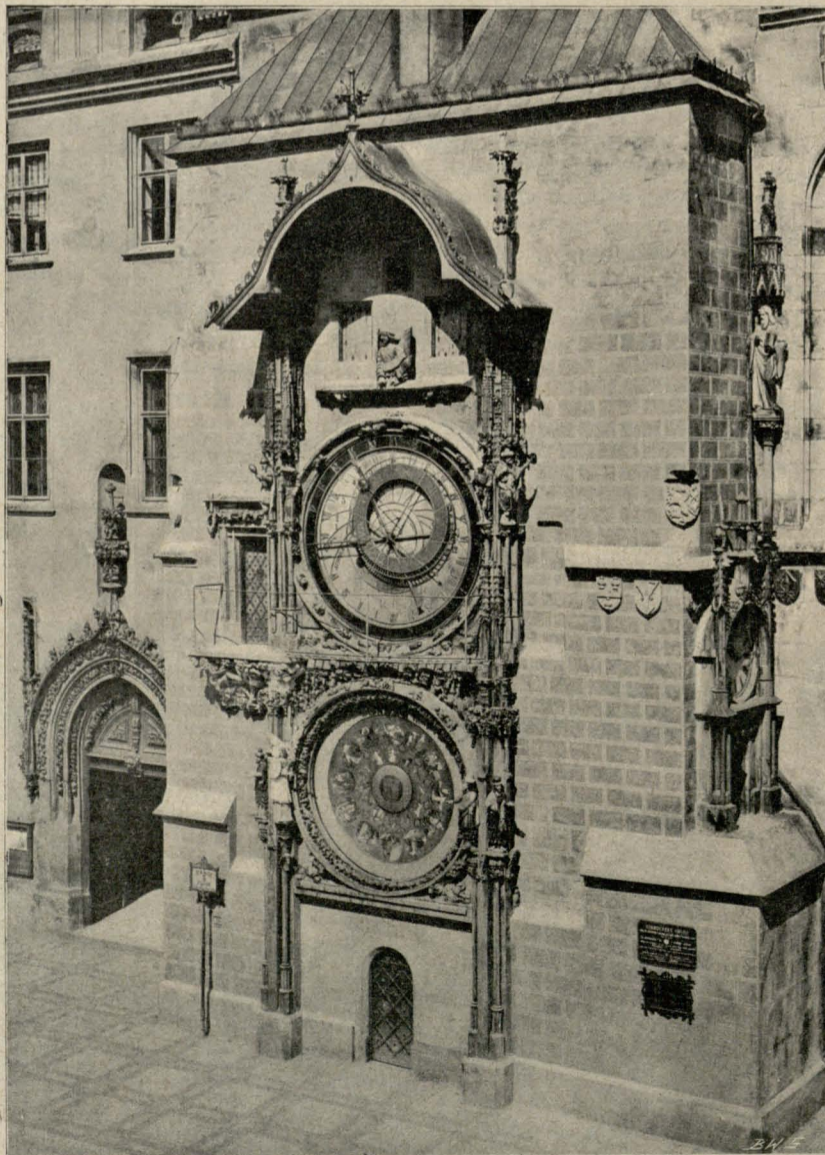
Prawda i siła nagromadzonych w życiu ludów słowiańskich przez wieki całe obaw, cierpień, zagadnień palących prze-rwała wnet to sztuczne ogrodzenie, jakim otoczyć próbowali, pozornie przynajmniej, narady Słowian obecne politycy nazbyt lekkliwi... narady owe, wbrew chęci ich może, stały się od początku wymianą myśli w kwestiach zasadniczych—to ludy, szczę-

śliwe, iż na chwilę pozbyły się urzędowych form sztywnych i urzędowych granic, odkrywały wzajem przed sobą pragnienia swe i bóle. Usiłowały stanąć przytem na poziomie sprawiedliwości bezwzględnej.

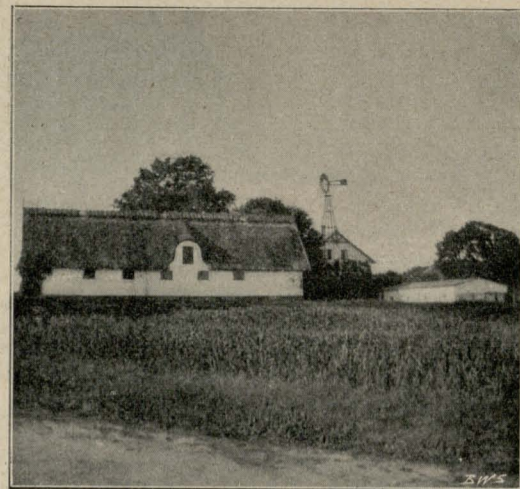
Zaś żadna taka chwila w dziejach ludzkości, której przyświeca sprawiedliwość, nie idzie na marne. Ślad po niej w pojęciach ludów pozostaje zawsze... Pozostanie on więc i po zjeździe słowiańskim, nawet, gdyby prawdą było mniemanie złośliwe, iż powołało go do życia jedynie kilku politycznych sztukmistrzów, by aureolą popularności nowej podreperować swe stanowisko wśród mas zachwiane uprzednio. Cóż z tego, gdyby nawet tak było, gdyby na dnie roboty tej odnalazł się istotnie egoizm osobisty lub partyjny?... Cóż z tego?... Człowiek, co rozdmuchał na ziemi pierwsze ognisko, myślał o sobie... jednak przy ogniu ludzkość cała grzeje się już miliony lat.

Kto wie, czy twórcy zjazdu słowiańskiego nie zbudzili również żywiołu?... Kto wie, czy nie poczęli rzeczy wszechludzkiej?... Narody coraz bardziej czują się sobie bliskie, nacjonalizmy wybujałe podsyca już tylko ucisk lub pielęgnuje ciemnota, o braterstwie ludów śni się już licznym tysiącom. Przyszłość pokaże, zali zjazd Słowian w Pradze, stwarzając styczność bezpośrednią nie państw, nie rządów, ale ludów, nie był ery braterstwa wielkim początkiem. Idee humanitarne szczerze towarzyszyły mu czas cały.

Hasłem zjazdu był wszakże rozwój poszczególnych narodów niekrępowany niczem, było ich współdziałanie na zasadach równości praw i samoistności kulturalnej zupełnej. Czy hasła takie, chociażby tylko przypomniane światu w chwili, gdy jeszcze pruski but depce sumienie Europy, mogą nie przynieść pożytku, pytam sceptyków najbardziej zaciętych, których zresztą ze zdumieniem znajduję w tych obozach, w których właśnie największą wagę przypisuje się ideowemu hasłom. Rola zjazdu praskiego, jako śmiałego i kategorycznego przejawu dążności dzisiejszej ludów do łączenia się i pojednania, nie podlega żadnej wątpliwości. Jego znaczenie hasłowe zbagatelizować się nie da.



Starożytny zegar z XIV-go wieku na ratuszu praskim. Podczas bicia każdej godziny ukazuje się 12 apostołów, poczem rozlega się pianie koguta.



Dania. Zabudowania folwarczne w Kolkolle. W głębi wiatraczek, poruszający motory. Fot. L. Włodek.

Pierwiastków wojowniczych, coby zapowiadały nową chęć ludów chwycenia się za bary, w zjeździe praskim nie było. Widmo fatalne Prus żoldackich przesuwało się niejednokrotnie w przemówieniach reprezentantów narodów słowiańskich, wciąż zagrożonych jeszcze przez odwiecznego wroga. Ale była w nich wszystkich tylko myśl o samoobronie. Nuta nienawiści namiętnej nie zabrzmiiała ani razu. To także powinna zjazdowi Słowian w Pradze zapamiętać historia i należycie ocenić.

Dla stosunków międzysłowiańskich miał kongres, zainicjowany przez p. Kramarza znaczenie na razie orientacyjne przedewszystkiem. Ci, którzy nań przybyli, musieli nauczyć się wiele, nauczyć nieraz wbrew chęciom.

Odnosi się to przedewszystkiem do Rosyan. Po raz pierwszy mieli oni może sposobność spojrzeć w oczy istotnej prawdzie... po raz pierwszy wyczuli nastroj słowiańszczyzny i jej tendencje obecne. I musieli zrozumieć, iż słowiańszczyzna, bezwzględnie pełniająca u nóg Rosyi, dziś nie istnieje. Wolność pomniejszych ludów słowiańskich i tryumfująca wszędzie idea demokratyczna zrobiły swoje. Dziś niema takich, coby oddać się chcieli pod skrzydła możnej protektorki, jak oni, bez zastrzeżeń.

Przyczyną tego—niewątpliwie z jednej strony, iż protektorka owa wykazała swą zewnętrzną i wewnętrzną niemoc, z drugiej jednak bezsprzecznie i ewolucja pojęć, jaka wśród wszystkich społeczeństw słowiańskich od czasu ich usamowolnienia odbyła się i postępuje widocznie.

Sympatye dla Rosyi obecnie, o ile są, odnoszą się raczej do Rosyi, która będzie—nie do tej, jaką siły ciemne usiłują w dawnych kształtach utrzymać. Taka Rosya zwolenników pośród budzącej się słowiańszczyzny już nie ma.

Zewsząd żądają od niej, by stała się rozpoczętego ruchu ku jedności słowiańskiej szlachetną i sprawiedliwą mistrzynią, nie żadną władzą tylko, jego podejrzaną faktorką. Rosyanie, uczestnicy zjazdu, usłyszeli w Pradze po tysiąc razy, iż *wszystkie* ludy słowiańskie w równej mierze oczekują od nich przed innymi dowodami wszechsłowiańskich sympatyi — wielkiego aktu sprawiedliwości względem największego z kolei słowiańskiego narodu. Kwestyę stosunku Rosyi do Polski zjazd praski postawił najzupełniej wyraźnie, postawił z całą szczerością i odwagą. Krasowscy, Bobryńscy, Guczkowie i Stołypinowie nie mogą odtąd mieć wątpliwości żadnych. Muszą więc uznać prawa naturalne polskiego narodu, jeśli pragną prowadzić politykę słowiańską, jeśli marzą o Rosyi, posiadającej sympatye i wiarę pobratymczych ludów. Pozostaje im wysłuchać ich życzeń i niezłomnej woli, albo odwrócić się od nich raz na zawsze, przekładając ucisk pruski. *Aut, aut...* Ten dylemat postawił Rosyi zjazd słowiański, rzekłbym, kategorycznie,

rozmyślać nad nim musi odtąd każdy, pragnący szczęścia choćby tylko własnego narodu Rosyanin. Do serca słowiańszczyzny jest już dziś droga tylko przez szczęśliwą Warszawę.

Zrozumieli to w ciągu niewiele dni, wymownych niezmiernie, nawet przedstawiciele Rosyi imperyalistycznej, Rosyi październikowców dzisiejszych. I deklaracja, odczytana w dniu 18 lipca przez starego słowianofila, co to w dzień otwarcia narad „nie rozumiał jeszcze” — jak sam wyznał — nowego słowiańskiego kursu, była ze wszech miar miarodajna. Trudne do pojęcia dla panslawistów moskiewskich i petersburskich stało się aż nazbyt jasnym w ciągu tego słowiańskiego tygodnia. Dziś wiedzą oni doskonale za jaką cenę zdołają zbudować zaufanie Czechów, Bułgarów, Serbów i Kroatów. Pozostaje się zdecydować: z nimi lub... z Berlinem. Lecz poza słowiańszczyzną jest jeszcze Europa niepruska, która decyzję tę, miejmy nadzieję, przyspieszyć potrafi... Zjazd w Pradze dał do niej impuls potężny.

Dla nas Polaków przybycie na ów zlot czesko-słowiański było też ważne z innych względów. Mieliśmy możliwość wykazać, iż posądzenia nas o *niesto-wiańskość* są niesłuszne. Że nie my będziemy bądź co bądź tymi, o których łączność słowian upragniona rozbiłaby się mogła, że nie my staniemy na jej drodze. Narody słowiańskie miały też sposobność przekonać się, iż zachłanność, o jaką pomawiano nas nieraz, jest nam zupełnie obcą. Szereg wystąpień polskich w obronie ukraińców, wystąpień niezmiernie czystych i szlachetnych, rozwiać musi legendę, jaką o nas stworzono. Naród polski pragnie nietylko niezbędnych warunków życia i rozwoju dla siebie — pragnie ich i dla wszystkich szczepów słowiańskich. Wyznanie to, uczynione wielokrotnie, nie może przebrzmieć zupełnie bez echa. Zastanówić się nad nim choć przez chwilę będą musieli obrońcy Sycylińskiego, różni Lewiccy i Trybowscy. Odrębności ukraińskiej na zjeździe słowiańskim bronili najszczerczej Polacy. Przekonali się oni jednak raz jeszcze, że tu tkwi właśnie potężny kamień nieporozumienia pomiędzy nimi a imperyalistyczną Rosją. Kamień to twardy, ale jutro słowiańskie nie rozbije się, wierzymy, i o niego, bowiem Rosya zaborcza *musi* ustąpić miejsca Rosyi odrodzonej.

W. BARANOWSKI.

Dowcip i satyra warszawska.

Okres wolności prasy polskiej w Warszawie ujął dwa nielada talenty satyryczne, iskrzące się zdrowym, wesołym, a zawsze na miejscu dowcipem. Redaktorzy *Muchy*, pp. Buchner i Orłowski, potrafili we dwóch, prawie bez dodatkowych współpracowników stworzyć tak żywe, powiedzmy bez ogródek, tak kapitalne pismo humorystyczne, że niech go nam zazdroszcza najpierwsze organy w Europie.

Poziomem swoim *Mucha* śmiało może iść w zapasy z prasą satyryczną najwytworniejszych narodów.

Ukrywający się pod pseudonimami Krogulca i Ner-Bucha redaktorzy naszej *Muchy* wydali świeżo specjalną książkę, jako kronikę dowcipu „Roku drugiego konstytucji: 1906—1907”.

Zbiór ten satyr i dowcipów czyta się jednym tchem, i często chwytą cię śmiech tak serdeczny, że choćby kłaść się na ziemię. Ale nierzadko smutne te satyry i łzę w oku wyciskają, bo są zbyt prawdziwe, choć pozornie zakrawają na zmyślowe dowcipy...

— Czem ty jesteś? — czytamy w „krótkim egzaminie”.

— Polak mały.

— Co cię czeka?

— Tylko wały.

— Za co miałbyś

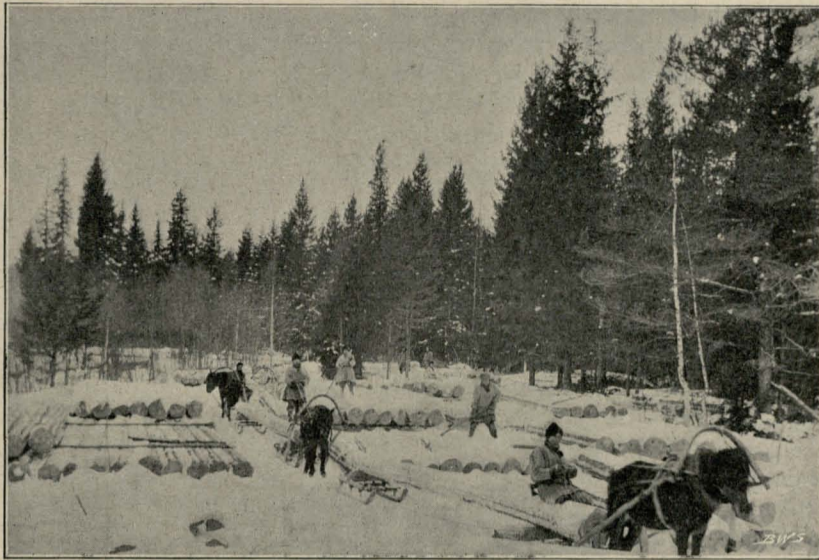
Brać wciąż basy?

— Bom człowiekiem

Drugiej klasy!

Parafraza ze znanego wiersza Wł. Bełzy. Ale jakże do chwili, niestety, przystosowana!

A dalej na czasie i na dobie taki oto charakterystyczny spotykamy dialog:



Lasy archangielskie. Zwózka drzewa na bindugę.

— Chciałbyś być obecnym prezesem warszawskich teatrów?

— Nie.

— A wice-prezesem?

— Też nie.

— Dlaczego?

— Ty, łobuzie, tak mnie za słówka ciągniesz, ażeby zapłacił trzy tysiące rubli, albo poszedł na trzy miesiące do kozy?

Zapytanie to jakby uzupełnia wiersz Krogulca: „Do liry”, brzmiący na smętną nutę odkrywanej prawdy:

Za satyry figlarne

Wyślą w kraje polarne

Lub do ciupy gdzie wsadzą.

Zamilknij przeto, o liro!

Nie karm ludzi satyrą,

Nie chciej rwać się do lotów!

Z jednej strony masz krzyki,

Z drugiej gorsze — bo wnyki,

Z trzeciej: Pawiak, Mokotów.

Nie bacząc jednak na strachy, którym satyrycy zwykli nieraz po cichu dośpiwywać: na Lachy! nie kwitują z dowcipu na chwilę i dają w książce swojej zbiór naprawdę znakomitego doboru humorystyki polskiej.

Satyryczna książka rzuca świetne promienie na usposobienie Warszawy, dowcipem zabijającej nieraz największych wrogów.

Nowego wydawnictwa szczerze wieszować możemy naszym tyle utalentowanym redaktorom z *Muchy*. (g)

Ze wspomnień o dalekiej północy.

W gubernii archangielskiej wśród około 350,000 ogólnej ilości mieszkańców znajduje się około 2,000 katolików, mówiących po polsku. Ponieważ są oni rozsiani po niezmiernych niemal przestrzeniach gubernii, równającej się prawie, jak wiadomo, powierzchni Francji i Wielkiej Brytanii, razem wziętych, przeto same już warunki lokalne utrudniają niezmiernie jakąś łączność, skazując ich poniekąd na zlanie się z miejscową ludnością lub asymilację.

Jedynym łącznikiem, skupiającym i ześrodkowującym te luźne promienie, jest kościół. Kościółek małeńki i ubożuchny był wybudowany około 20 lat temu, po spaleniu się starego kościoła w mieście gubernialnym.

Mieszkający w mieście katolicy (przeważnie żołnierze, drobni urzędnicy, a nawet policjanci) uczęszczają doń w miarę możliwości. Innych katolików, rozsianych na bezbrzeżnych niemal przestrzeniach, musi odwiedzać i wyszukiwać miejscowy proboszcz.

Zadanie niełatwe! Trzeba się zaopatrzyć w niezbędne utensylia, by móc odprawić mszę świętą w pierwszej lepszej izbie. Rzecz prosta, że warunki klimatyczne wielce utrudniają owe podróże. Obecny kurat (proboszcz i dziekan w jednej osobie, porozumiewa się bezpośrednio z konsystorzem katolickim w Peters-

burgu), szanowny ksiądz Jan Kaziulewicz, miałby wiele do nadmienienia w tej kwestii!... Nie da się jednak zaprzeczyć, że ciężka praca kapłana jest bardzo owocna. Ten tylko, kto dłuższy czas żył w tych warunkach, lub człowiek, obdarzony wielką intuicją, może dokładnie przedstawić, jaki balsam pociechy spływa na odwiedzianych, jak się podnosi ich ducha. Wtedy także chrzczą się niemowlęta i starsze dzieci, dają śluby etc.

Ponieważ drzewo we wsiach, gdzie przeważnie mieszkają nasi, jest bajecznie tanie (sąż. całosześcienn, równający się przeszło półtora sążnia polskiego, kosztuje od 50 kop. do 1 rubla), przeto miejscowych mieszkańców stać na obszerne i wygodne mieszkania, z czego korzysta, rzecz prosta, i ludność niestała.

Typowym domem północnego mieszkańca jest budynek o 4 izbach (dwie na dole i dwie na piętrze), łączący się bezpośrednio z oborą i stajnią pod wspólnym dachem. Typ ten jest najpraktyczniejszy ze względów klimatycznych. Ściany układają z drzewa w stanie okrągłym, umiejętnie przedzielając okrągłaki grubą warstwą mchu. Kilkadziesiąt takich domów stanowi wieś. Wyjątkowo trafiają się wsie, składające się z kilku tylko domów. Odległość między wsiami 6 — 30 wiorst. Miasta leżą od siebie o kilkaset lub parę tysięcy wiorst. Przeważnie są one typu dużej wsi, różniąc się od niej tylko ilością domów, jeżeli nie brać w rachubę domów miejscowych dygnitarzy lub domów, gdzie mieszczą się instytucje rządowe.

Chociaż przez część gubernii archangielskiej przebiega kolej z Archangielska do Wołogdy, jednakże, podczas krótkiego lata, główny ruch skupia się na statkach parowych, prujących Dźwinę północną, Wagę i jej dopływy, a także olbrzymie wody systemów innych rzek dalekiej północy. Główne trakty, zwłaszcza w zimie, były wybornie utrzymywane.

Do miejscowych osobliwości, z którymi chyba niełatwo by się pogodził nasz kmiotek, należy to, że każda wieś co lat 12 za pomocą losowania na nowo rozdziela swe grunty. Ślepy traf sprawia, że zawsze wybornie uprawiona rola Iwana dostaje się wałkoniowi z pod ciemnej gwiazdy Niłowi.

Charakterystycznym jest jednak stwierdzony wielokrotnie fakt, że pierwszy na wyjątkowej, drugi zaś na roli w najlepszej kulturze będą pracować po dawnemu. Jałowość roli nie zmniejsza pracowitości i rządności Iwanów, zarówno jak świetne względnie warunki Niłów nie powiększa ich pracowitości i nie powstrzymują od bajecznego niemal pijaństwa. L. OB.

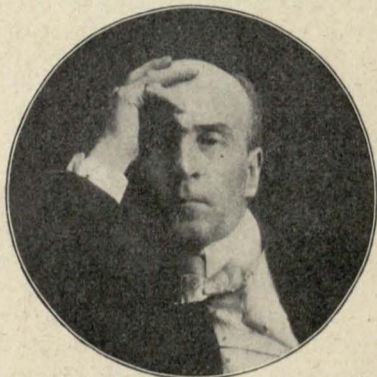


Lasy archangielskie.

WIECZORY TEATRALNE.

Prywatny teatr polski w Warszawie.—Zadania i działalność Teatru Małego.—Demonstracje i egzercycje artystyczne.—Maryan Gawalewicz jako kierownik teatru.—Literat polski jako mecenas sztuki.—Upodobania „kulturalnej” publiczności warszawskiej.—Ciemne perspektywy.

Czem dla publiczności naszej teatralnej jest Teatr Mały, stworzony, utrzymywany i kierowany jak najosobliwiej przez Maryana Gawalewicza, mieliśmy kilka dni temu typowy przykład.



Władysław Staszewski.

Grano nieznaną całkiem publiczności polskiej sztukę głośnego w Niemczech powieściopisarza z realizmu Henryka Tövöte „Nie puszczę cię!” („Piekelnicy”); sztukę ze wszechmiar interesującą, z efektownie i umiejętnie namalowaną postacią niemal patologicznej histeryczki, łamiącej tragicznie życie ukochanemu mężczyźnie i sobie. Wystawiono rzecz bardzo starannie i artystycznie; grano zupełnie dobrze; wystarczy powiedzieć, że p. Adwentowicz, wysoce utalentowany artysta lwowski, odtwarzał współbohatera sztuki. I nie tylko zapoznanie się z Tövöte'em było dla publiczności naszej — rewelacją; zgotował dla niej Gawalewicz jeszcze jedną siurpryzę. Nagle i niespodziewanie, drugoplanowa dotąd artystka Teatru Małego, p. Wanda Jarszewska, zadebiutowała w wielkiej, t. zw. „odpowiedzialnej” roli Maryi, zdobywając jak na zupełniejszy sukces. Od gry jej pogłębionej elastycznej, zasilonej wrodzonym temperamentem, panującej nad ciężką i trudną rolą, biła świeżość i szczerość, potęgująca osobisty urok młodej artystki.

Oto, jak się rzekło, typowy okaz kulturalno-artystycznej działalności prywatnej sceny polskiej, wiodącej, niestety, ciernisty żywot na gruncie tu naszym, warszawskim. Działalność ta polega na: zapoznawaniu publiczności naszej z jak największą ilością utworów scenicznych rodzimych oraz obcych i na wyrabianiu, dla sceny polskiej wogóle, nowych a poważnych sił aktorskich. Wszystko to zaś dziać się powinno pod stemplem: biegłego i skrupulatnego poszanowania dla dzieła autorskiego oraz scenicznego kunsztu. I dzieje się...

Sztuka Tövöte'a nie jest — arcydziełem. Ba!.. Oto w ciągu trzyletniego prawie, bo z przerwami, istnienia w Warszawie Teatru Małego, wystawił Gawalewicz *dwieście kilkadziesiąt* utworów scenicznych bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych. Kolejno, a zawsze w jak najstaranniejszym odtworzeniu, zapoznawała nas ta sprawna, ruchliwa scenka w gmachu Filharmonii z utworami: Wyspiańskiego (wyjątki z „Wesela”), Krasieńskiego („Nieboska Komedia”), Orzeszkowej („Cham”), Reymonta („Chłopi”), Perzyńskiego („Aszantka”), Zapolskiej („Moralność pani Dulskiej”); Lewandowskiego, Palińskiego, Wł. Zaleskiego, Kiedrzyńskiego i inn.; z repertuarem włoskim („Gioconda” d'Annunzia, „Cierpkowoc” Roberta Bracco, „Oberżystka” Goldoniego, „Lucyfer” Buttiego i t. p.), z niemieckim (Hauptmann, Schnitzler, Salten, Sudermann etc), z rosyjskim („Re-



Edmund Weychert.

wizor” Gogola, „Zmartwychwstanie” Tołstoj, „Dzieci Waniuszyna” Najdienowa, „Femka” Trachtenberga, „Intratna posada” Ostrowskiego, „Wujaszek Wania” i „Wesele” Czecho- wa i t. d.), ze sztukami Strindberga, Shawa

i Amerykanina Jerome-Jerome'a, z repertuarem holenderskim (niemal wszystkie najwybitniejsze utwory Heyermansa), z Ibsena „Rosmersholm” i „Norą”, z repertuarem duńskim (np. Essmana „Ojciec i syn”), z nowoczesnym repertuarem francuskim, wystawiając niektóre sztuki nawet przed ukazaniem się ich na paryskiej scenie (Porto-Riche: „Zakochana”, Kistemaekers: „Instynkt”, sztuk kilka Bernsteina, De Flersa i Caillaveta, Bataille'a etc. a ostatnio Eug. Brieux „Simona”), nie zabrakło nawet dla kompletu Japończyka Izumy („Terakoya”)..

Niechybnie pamięć mi nie dopisała. Ale i wobec takiej już choćby tylko listy wolno podkreślić, że Gawalewicz daje w „małym” teatrze swoim obraz wcale duży ruchu scenicznego wogóle w świecie kulturalnym bez względu na to, że ruch ten nie może przecie wydawać z siebie samych arcydzieł!

Potrzebna nam taka, u zbiegu ulic Jasnej i Moniuszki, wyższa uczelnia pogładowa. Maryanowi Gawalewiczowi zawdzięczamy istnienie w Warszawie *sui generis* instytucji użyteczności publicznej. A że „wykłady” idą w niej w szybkim tempie, nie dziw. Twórczość sceniczna stanowi dziś przecie ogromny odłam literatury i sztuki.

Drugie naczelne zadanie swoje spełnia, niemniej chlubnie, Teatr Mały, jako aplikacyjna pepiniera dla aktorów. W ogniu umiejętnie sterowanej, gorączkowej, wytężonej pracy artystycznej Teatru Małego dojrzewają talenty idące potem zasilać sceny polskie, mające już wyrobioną przez tradycję „wyższą rangę”. I znowuż, jak owa zaznaczona wyżej defilada sztuk, podobnie ujrzymy defilujący przez scenę Teatru Małego długi korowód pań i panów, którzy bądź rozpoczęli zawód aktorski pod kierunkiem Gawalewicza, bądź gościli przelotem na jego scenie, bądź wrzecie stałe i wiernie dzielą dołą iniedolę wzorowej sceny „małej”.



Wanda Jarszewska.

Nazwiska? Przychodzą same na pamięć. Mrozowska, Kamiński, Siemaszkowa, Adwentowicz, Wysocka, Zelwero wicz, Sulima, Feldman, Duninówna, Staszko wski, Pytlińska, Weychert, Bartoszewska, Brydziński, Dulębianka, Orliński, Pawińska, Rożańska, Kosiński, Maryański, Czarnačka, Mielnicki... Wystarczy może? Jedni dziś w Krakowie, drudzy w tutejszych Rozmaitościach, a Maryan Gawalewicz, nie przymierzając jak niestrudzony ogrodnik: co mu z oranżeryi jaki piękny okaz uniosą, natychmiast „wystawowe” palmy swoje i storczyki szluzuje, jak kadry niezachwane, a wśród nich rozpoczyna mądrą hodowlę odrośli świeżych.

Bo gdy za rozsunieniem się kurtyny odsłoni się widok sceny utrzymanej ściśle w charakterze danego środowiska, gdy padające od kinkietów światło nie z dołu, lub z za bocznych kulis, lecz z za okna, da pełne złudzenie słońca na dworze, gdy *całość* mise-en-scène'y wywoła zamierzony nastrój; gdy, jak np. w pierwszym akcie „Piekelnicy” odtworzy plastycznie jakby żywy rozdział powieści, lub w „Dniu Zadusznym” ciszę i spokój holenderskiego probostwa; a gdy po tak subtelnie skonstruowanej scenie roztaczać się zacznie akcja dopełniona mnóstwem pomysłów w gestach, mimice, grupowaniu się, pozach, akcentowaniu słów, w zewnętrzny wyglądzie występujących osób, w operowaniu akcesoryami... panie i panowie! — nie sądzicie, aby *stawało* się to wszystko samo, byle tekst sztuki zaczęli rutynowani aktorzy recytować wśród wskazanego w scenariuszu umeblowaniu lub wśród porozpinanych dokoła płócien dobrze namalowanych dekoracji. Nie sądzicie tak.



Marya Dulębianka.

Tym panem jest dyrektor-reżyser — o ile, jak np. Gawalewiczowi, oba zadania jednej osobie przypadły w udziale. W Teatrze Małym, niezmiernie trudnym i uciążliwym do prowadzenia jest, Gawalewicz i *spiritus movens* i *spiritus conficiens*. Dyrektor to teatralny „urodzony”. Pracowity — do wirtuozostwa. Czytając masę sztuk, załatwiając bezpośrednio wszystkie teatralne sprawy, przygotowując tyle sztuk na scenę, reżyserując osobliście, instruując artystów, — ma jeszcze czas pisać rok rocznie dwie powieści!

I ów zasłużony już dziś literat polski na własne ryzyko, stracił nie szczędząc, prowadzi — dla honoru kultury polskiej — przy najcięższych warunkach — teatr prywatny, kształcący w równej mierze publiczność, jak siły aktorskie.

I cóż na to publiczność nasza?... Och, ta nasza publiczność!

O! jeśli by *za nią* ufundował kto u nas i utrzymywał taki Teatr Stanisławskiego, lub Teatr Antoine'a, o których głośno po świecie, z jakążby rozkoszą czytano o wysokim poziomie kultury polskiej, która się na co podobnego zdobywała! Wrażliwi jesteśmy bardzo na tego rodzaju kazidła.

Ale *sami* przyłożyć się zbiorowo do tego, aby *możliwie* było u nas takie ognisko kultury artystycznej... na takie „poświęcenie” zdobyć się nie umiemy. I cóż to, u licha, za poświęcenie? Repertuar urozmaicony, jak nigdzie może; cała literalnie skala wrażeń i nastrojów; obie sale, zimowa, mała oraz letnia wielka sala Filharmonii — jak najwygodniejsze; gra i wystawa — bywa, że wręcz doskonałe.

No, ale gdzieżby to wszystko przyrównać do ukochanych... kabaretów! Tam dziś tłoczy się wszystko, co leni się myśleć, a czuć już nie potrafi. Tam... „aszanciej” gusta nasze i upodobania.

Wołamy wielkim głosem o wzorową — a jakże! — polską scenę dramatyczną, poważną, artystyczną, a gdy z istic obywatelskim wysiłkiem, heroiczna ofiarność prywatna da ją niedołącznemu społeczeństwu naszemu, — pokrytykowawszy „europejskim” półgębkiem, wynosimy się do... Renesansu, Corso lub Aquarium.

Tak było z europejską na prawdę „Chimerą” Przesmyckiego; tak jest z Teatrem Gawalewicza. I „Chimera”, dokazawszy cudów wytrwałości, — istnieć przestała...



Laura Duninówna.



Bandyci w Łodzi na tle szubienicy w podwórzu więziennym. Po prawej stronie w pelerynie kat Fremel.

Nie dopisuję cisnącego się pod pióro odpowiednika do tego gorzkiego okresu. Niech wzamian wolno mi będzie spytać: coby się też stało, jeśliby pięknego poranku musiała Warszawa *własnymi siłami* utrzymać teatr polski wogóle?

Upodobania Warszawy zafundowałyby sobie zaiste... nadzwyczajną instytucję! *Café-chantant* na— pół miliona osób. I czytaliśmy złoty napis na gmachu: „Naród sobie!” CZESŁAW JANKOWSKI.

Echa z więzienia łódzkiego.

Na stronie niniejszej podajemy dwa zdjęcia fotograficzne ugrupowań więźniów, głównie bandytów łódzkich, którzy, za wyłączeniem jednego (górna fotografia 6-ty w rzędzie siedzących, biorąc od lewej strony na prawą), niejakiego Henryka Müllera, zwolnionego przez sąd wojenny, nie żyją już na tym świecie. Ocalał również Fremel, ubrany czarno, w pelerynie.

O Fremle nieco szczegółów drukował niedawno dziennik warszawski p. n. *Polak-Katolik*, pisząc: „Fremel grasował dość długo, aż został oddany przez tych, którym oddawał usługi, pod sąd wojenny. Skazany na śmierć, został ułaskawiony, ponieważ podjął się roli kata, i ostatnio, na początku maja, powiesił własnego szwagra. Mimo to znajduje się nadal pod kluczem”.

W rzędzie stojących od lewej ręki ku prawej 3-ci Biechowski, bandyta, 4-ty Olczak, bandyta, zabił trzech ludzi, 8-my Włoszczański, głośny bandyta, swego czasu zabił inżyniera fabryki szajblerowskiej, ś. p. Ostaszewskiego, i majstra tejże fabryki, ś. p. Polkowskiego, w kilka zaś miesięcy później zamordował ś. p. Adamka, właściciela młynów parowych pod Łodzią.

W rzędzie siedzących: 1-szy (licząc ku prawej stronie) Józef Walczak, 3-ci Kołduński, szwagier kata Fremela i przez niego powieszony, 4-ty Nowak, 5-ty Władysław Walczak.

Fotografia ta, dokonana na tle szubienicy, zrobiona była przed zapadającymi stopniowo wyrokami sądu wojennego, skazującego podsądnych na śmierć przez powieszenie.

Na fotografii umieszczonej niżej, z prawej strony niniejszej kolumny, widzimy bandytę Gruszczyńskiego, zabójcę jednej kobiety i 2-ch robotników.

W dzień egzekucji wynurzył on życzenie sфотографowania się pod szubienicą i nawet, jak się wyraził, „dla efektu” spuścił stryczki.

Na kilka godzin przed wykonaniem egzekucji połączył się węzłem małżeńskim z byłą swoją kochanką.

Ceremonii ślubnej dokonał duchowny maryawicki.

Fotografie te stanowią dokument historyczny smutnie przeżywanego okresu zamętu i zezwierzczenia dzikich jednostek.

„Mrok” — L. Andrejewa.

Bywają chwile, w których nagle, zupełnie, zdawałoby się, bez sensu, życie człowieka zmienia do szczętnie. „Psychologia doświadczalna” nie umiałaby objaśnić tego faktu. Szlachetny staje się nagle podłym, podły — szlachetnym. Zmiana ta pozostać może na zawsze, może też trwać dni kilka, kilka godzin — w takich chwilach popełniają ludzie zbrodnie, lub bohaterstwa — a czy potem napowrót staną się „normalnymi”, czy też nie — takich spraw przewidywać nie można.

Załamaniom takim ulegać mogą oczywiście przede wszystkim natury silne, bezwzględne, żywiołowe, niezdolne do kompromisów, częściej zaś jeszcze natury pierwotne, nieuświadomione. Stąd takich tragedii dusznych wiele w Rosyi, kraju o kulturze tak świeżej, gdzie jednak żyją ludzie silni, dla których życie nie jest zabawką, ludzie, którzy i siebie i świat cały traktują z wielką, śmiertelną powagą.

Zapamiętajmy to sobie.

Gdy wkrótce w obszerniejszym artykule spróbuję podać, w najogólniejszych zarysach, analizie ducha Rosyi, uwagi powyższe okażą się niezbędnymi. Ale teraz wystarczy stwierdzić fakt, iż takie nagłe zmiany w życiu ludzkim istnieją, i że w powieści Andrejewa „Mrok” tragedia nagłego przeistoczenia się człowieka stała się dla wielkiego pisarza Rosyi *formą*, tłem do wypowiedzenia straszliwych w swojej prostocie prawd o społeczeństwie, straszliwego bólu i rozpaczcy nad nędzą i sponiewieraniem duszy ludzkiej w obecnych stosunkach.

— A jakież ty masz prawo być dobrym, kiedy ja jestem złą? — pyta prostytutka rewolucjonisty, którego życie było szeregiem nieskalanych bohaterstw, poświęceń, i który przez 26 lat swego życia nie znał jeszcze kobiety.

— Wstyd być dobrym! —

woła potem i słowa jej padają męczennikowi idei na duszę jak głazy, które miażdżą cały jego światopogląd.

Rewolucjonista i prostytutka! Skąd ci ludzie zeknęli się razem?

Silą konieczności.

Śledzono go. Osaczony, jak ścigane zwierzę, schronił się do domu publicznego. Nie wiedział, jak się zachować w takim miejscu. Swoją dobrocią, delikatnością, zwracaniem się do dziewczki publicznej, jak do człowieka, a wreszcie litością, a wreszcie pocałunkiem, złożonym na ręce tej szmaty, do brudnej rozkoszy służącej, obraził śmiertelnie zbrukaną, upadłą kobietę. Ją, traktowaną zwykle jak śmieć... Ją otaczali ludzie źli, podli, dobrego człowieka nie widziała nigdy... Szlachetność zabija...

Obrażona, wściekła i szczęśliwa, odgadując w nim rewolucjonistę, wymierza mu policzek, pluje na niego, grozi mu — ale tylko po to, aby go zdobyć, aby... on z nią pozostał — aby jej oddał to, co ma w sobie najświętszego — swoją dobroć — swoje bohaterskie życie. Uczynić to musi, „żeby jej wstyd nie było”...

Andrejew ma niezrównany dar mieszania fantazyi z rzeczywistością, lub też nadawania rzeczywistości barw jakiejś demonicznej fantastyczności. To też nie będę opowiadał, jak artystycznie, z jaką szatańską grozą i logiką rozwija się fantastyczna tragedia tych dwojga dusz, jakim sposobem w rewolucyoniście zachodzi straszne załamanie, spowodowane dziwną prawdą, że we współczesnym świecie „wstyd być dobrym”, jak się to dzieje, że ten człowiek z taką samą mocą, z jaką walczył z potęgami tego świata, postanawia rzucić pod nogi prostytutce swoją duszę, aby... jej wstyd nie było”.

„Zdrowie wszystkich nikczemników, podłych, tchórzów, zdrowie tych, których życie złamało, pije rewolucjonista w otoczeniu przyjaciółek prostytutki — zdrowie wszystkich ślepych od urodzenia. My wszyscy, którzy widzimy, powinniśmy sobie wykluczyć oczy, ponieważ wstydem jest, aby widzący patrzyli na ślepych od urodzenia. Jeżeli latarki nasze nie mogą rozświecić mroków, zgaśmy te ognie i pójdźmy wszyscy w mrok. Jeżeli raj nie jest dla wszystkich, jakże więc ja mam z niego korzystać...”

Został u niej. A ona, szczęśliwa, całuje mu stopy. Pyta nieśmiało, czy rewolucyoniści przyjmą ją do swego



Bandyta Gruszczyński pod szubienicą przed straceniem w Łodzi.

grona, do swoich wielkich prac. Przygotowuje się w niej wielkie jakieś odkupienie...

Ale w głupocie swej i dzikiej nienawiści, a także w żądaniu bezwzględności poświęcenia od tego zbawczego ducha, co do niej zawitał, wzięła od niego rewolwer, zaniósła do kantoru. Posłano po policję. Aresztują bezbronny. Ona wtedy uczuwa, co się stało, rzuca się na żołnierzy, gryzie ich w obronie tego człowieka, którego wielkość przeczuwa, zgaduje... Oboje idą do więzienia.

Koniec.

Straszliwy wyraz bólu i rozpacz, protestu przeciwko spodleniu człowieka w dzisiejszym świecie. Straszliwa tragedia bohaterskiej, głębokiej, gołębio czującej duszy. J. KL.

Kueng-Hsi—cesarz Chin.

Umarł Kueng-Hsi, cesarz Chin. Syn księcia Chun, siódmego brata zmarłego w r. 1861 cesarza Hien-Funga, z dynastii mandzurskiej, urodzony r. 1871, objął tron r. 1887, liczył więc zaledwie lat 16, gdy zapanował nad trzystu, czy nawet czterystu milionami złotych poddanych...

Człowiek z władzą tak pozornie olbrzymią smutne i poniżające nawet miał rządy. Za niego, potężnego teoretycznie władzę, rządziła ciotka Thu-Hsi, cesarzowa wdowa, kobieta chciwa władzy, mądra i energiczna, której też staraniem zdołano wreszcie, po wielu krwawych



Kueng-Hsi, zmarły cesarz chiński.

przejęciach i rewolucjach, wprowadzić początek reform w „państwie niebieskiem”. Do uznania władzy tej kobiety zmusiła nawet Kuenga rewolucja Li Hung-Czanga.

Śmierć więc młodego, bo dopiero 37-mioletniego władcy nie wiele zmienia w dotychczasowych stosunkach. Jak i dawniej, w Chinach istnieją dwie potężne, główne partie, walczące ze sobą w krwawych wojnach i okrucieństwach: zwolennicy dawnego porządku, nienawidzący Europejczyków i wszystkiego, co od nich pochodzi, oraz wielbiciel Japonii i dokonywanych w niej zmian. Drudzy jednakże niemniej nienawidzą białych twarzy, czując budzącą się własną siłę. M.

Konstytucja w Turcyi.

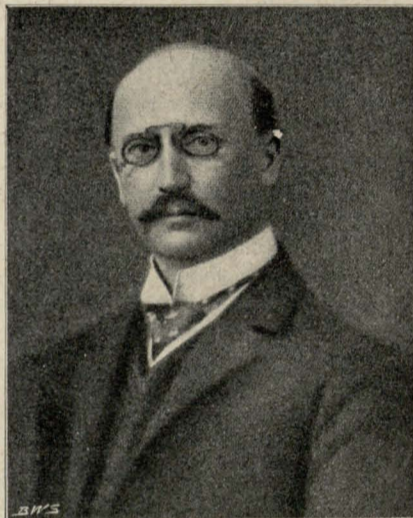
Kilka zamachów i wytrwała długoletnia agitacja w wojsku dokonały przewrotu, jaki zazwyczaj okupuje się morzem krwi i tysiącem okrucieństw obustronnych. Konstytucja, nadana w Turcyi, jest faktem bezprzykładnym w historii. Bezkrwawa, a przynajmniej prawie bezkrwawa rewolucja w państwie despotyzmu i barbarzyństwa jest czemś tak zdumiewającym, że wydaje się jakimś „*contradictio in adjecto*”. Wskutek tego nikt się nie dziwi sceptycyzmowi, z jakim zapatruje się Europa na to niesłychane widowisko. Anglia wprost ostrzega młodoturków, aby nie dowierzali sułtanowi. Młodoturcy znów, jak się zdaje, o ile zechcą dobrowolnie powstrzymać się od dalszych przewrotów i przyjąć drogę ewolucyjnego nie zaś rewolucyjnego rozwoju swoich idei, mogą mieć bardzo ciężkie zadanie przed sobą:

powstrzymanie wzbudzonych mas i obudzonej energii narodu przed chęcią zdetronizowania Abdul-Hamida. Że takie chęci istnieją, dowodzą telegramy z Salonik. Nie można się dziwić ludności, która już lat 32 temu została najbezpieczniej oszukana przez tegoż Abdul-Hamida za pomocą świstka konstytucyjnego, który zastąpił wtedy realne uzdrowienie „chorego człowieka”. Przytem nikomu nie jest wiadomem, czy konstytucja obecna taką samą w swej treści będzie, jak w r. 1876, czy też przybierze szersze rozmiary. Ale to pewna, że młodoturcy nie pozwoliliby na dawne obietnice. Wtedy, w owej demonstracyjnej bladej figurował paragraf, którego mocą sułtan miał prawo osobiście wprowadzać stany wojenne częściowo, w oddzielnych wilajetach, lub też nawet ogólnie w całym państwie...

Wszelkie szanse przemawiają więc za tem, że młodoturcy nie ustąpią, aż nie wprowadzą swojego *własnego programu* i ujmą w swe ręce *realnej* władzy—choćby za cenę krwi. K.

Dr. Gramsch,

nowy prezes pruskiej komisji kolonizacyjnej na ziemiach polskich. Jest to typowy urzędnik pruski, który wznosił się w karierze państwowej po szczeblach „gorliwości” junkierskiej. Liczy lat 48. Wstępując więc w wiek, który wkrótce już „ku starości pochylać się” będzie, nie



waha się ten człowiek plamić swego życia, ukoronować go—podłością, służbą najemnego rabusia, usuwającego ciemienionemu, bezbronnemu narodowi resztę ziemi rodzinnej z pod stóp. Winszujemy katowskiej godności.

Straże ogniowe wiejskie.

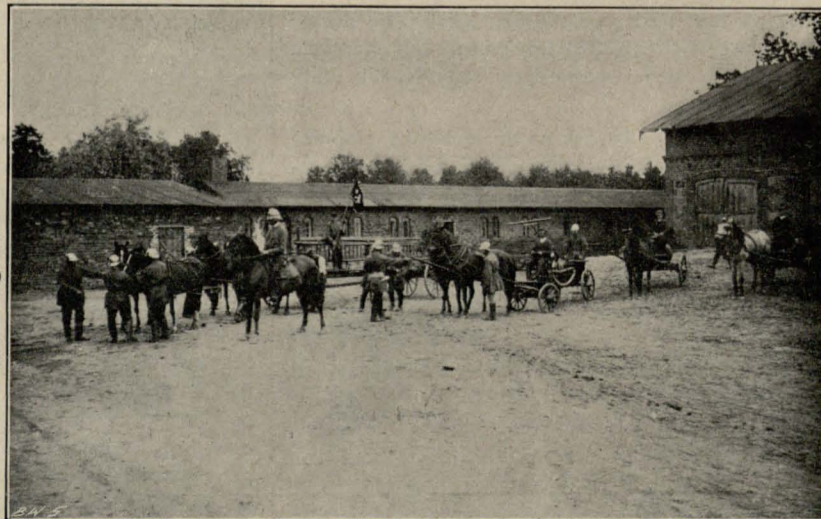
Czem jest pożar wiejski, jak wygląda przerażenie bezradnego ludu wobec niszczącego żywiołu—mają pojęcie tylko ci, którzy mu się zbliżka przyglądali.

A jednak mimo szkód, które wsi polskiej corocznie wyrządza ogień, straży ogniowych wiejskich prawie nie mamy wcale. Bodaj na palcach zliczyć je można.

Obywatele ziemscy, właściciele większych dóbr, powinni się tymczasem poczuwać do obowiązku stwarzania własnych swoich dworskich straży ogniowych. Koszty paruset rubli, a zasługa społeczna tak wielka.

Poniżej dajemy fotografie straży ogniowej w Nadółkach, w gubernii Płockiej, świeżo utworzonej własnym kosztem p. Adama Kosińskiego.

Może i w innych dobrach powstaną podobne straże!



Straż ogniowa dworska w Nadółkach.

NOCTURNO.

Wieczór... Wiatr goni przez pole
Na dworze ciemno i chmurno...
W jadalnej salce na stole
Samowar syczy nocturno.

Dokoła stadko pyzate,
Ćwierkają dzieci-wróbelki,
Żona naparza herbatę...
Chlebuś... maselko... serdelki...

Wieczera w domu poety...
Serdelek źródłem natchnienia!
Na rąbkach białej serwety
Rymują szkolne wspomnienia.

Schodzą się za stół koledzy
Od „ósmej” klasy do „pierwszej”,
Pełni zapału i wiedzy,
A każdy mówi „do wierszy”...

Każdy mu zwrotkę przynosi,
Każdy coś rzuca na lirę:
Jaś piękny sonet „Do Zosi!”
Józio „Na skąpców” satyrę,

Karolek odę „Do słońca”,
Staś w rondo „Wiosnę” zapłata.
Za białym stołem bez końca
Młodzieńcze snują się lata.

Młodzieńcze dzwonią zachwyty,
Młodzieńcze credo się kłósi,
Młodzieńczy zapał na szczyty
Myśli i serca unosi.

Zamiary, chęci i plany
Wiążą się w jutrznie i tęcze,
I wiary hejnał świetlany
Płynię przez piersi młodzieńcze.

Młodzieńcze dusze w porywie
Rwą się na skrzydłach w czyn wielki!

Poeta westchnął tęskliwie
I wzrok zatopił w serdelki...

Popatrzył rzewnie i długo,
Wiatr mu zawtórzyl staccato,
Przełknął żę jedną i drugą,
I popił gorzką herbatą.

EL.

NASZE RYCINY.

Stanisław Czarnowski. „Melancholia”, „Precz z drogi!”. Dwa utwory młodego rzeźbiarza, znanego w Paryżu ze swoich wystaw od lat czterech—zasługują na baczną uwagę ze względu na podkreślane przez krytykę francuską życie, dokładną znajo-

mość anatomii, oryginalność układu i wytrawność techniki artystycznej. P. St. Czarnomski urodził się w Wieluniu r. 1872, pierwsze studia odbywał w szkole rysunkowej w Warszawie, potem zaś w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W Paryżu był uczniem Charpentiera. Jest to artysta,



St. Czarnomski.

który starał się wchłonąć w siebie ostatnie wyniki współczesnej kultury rzeźbiarskiej i doszedł istotnie do rezultatów bardzo zaszczytnych. Zarówno jego studia i portrety, jakoteż kompozycje cechuje to, co zawsze i przedewszystkiem świadczy o prawdziwym talencie: życie. P. Czarnomski po rzeźbiarstwie odczuwa kształt przez siebie stworzony. Niema w jego pomysłach tej zabójczej dla rzeźby literackości, w jaką tak często popadają młode talenty, nieświadome swych zadań. Każdą pracę p. Cz. cechuje przytem sumienność artystyczna, dbałość o doskonałość formy. Np. w rzeźbie „Precz z drogi!” widzimy aż przesad-

na ścisłość anatomicznych szczegółów w połączeniu z siłą wyrazu, „Melancholia” znów, raczej studjum portretowe, ma dużą ekspresję przy paryskiej lekkości. — *Michał Pocięcha*. „Droga do wsi”. Zmarły niedawno artysta należał do tych pejzażyistów naszych, których przewodnikiem w sztuce była szczerść i siła wrażeń bezpośrednio od natury odebranych. Stąd krajobrazy jego miały siłę i świeżość, taką też jest „Droga na wsi”, malowana silnie i barwnie. — *Henry Ryland*. „Rachel” i „Ruth”. Dwa typowe obrazy angielskie, o anielsko stylizowanych, miękkich konturach i technice niedostrzegalnej, technice, która stała się cała kształtem i barwą, i w której *farb* ani efektownych „pociągnięć pędzla” ani śladu. Są to rzeczy mistrzowsko opanowane, o bardzo wysokiej kulturze malarskiej.

Zmarli.

Ś. p. Stefan Waszyński, młody, pełen ideałów i głębokiej nauki człowiek, zmarł w Atenach podczas podróży naukowej. Zmarły odbywał studia gimnazjalne w Poznaniu, gdzie „aczkolwiek przeszedł przez czyściec szkoły pruskiej, cierpiąc pod systemem i manekinami, jednak nie zatracił w sobie pierwiastków wycucia dobra i piękna, i godności Polaka. Następnie kształcił się i rozwijał w kilku uniwersytetach niemieckich, wszędzie odznaczając się zaciętością swoich zasad, powagą moralną i zdobytą wiedzą. Dużo podróżował w celach naukowych, bo za cel wytyczył życia postawił sobie służyć nauce. Przedwczesna śmierć jednak nie pozwoliła ziścić otoczeniu tych nadziei, jakie w *ś. p. Waszyńskim* wszyscy pokładali.



Stefan Waszyński.

Aniela z Semadenich Jelenowa. Czyna opiekunka ubogich starców, kalek i sierot gminy ew.-reformowanej, małżonka superintendenta polskich zborów ewang.-reformowanych w kraju. Dzięki swym zaletom towarzyskim, zacnemu charakterowi i wybitnym cechom serca, czuła niezmiernie



Aniela z Semadenich Jelenowa.

na niedzielę bliźnich, cieszyła się uznaniem i sympatią w szerokich kołach naszego miasta. Zmarła po całorocznej chorobie pomimo troskliwej opieki i zabiegów wybitnych powag lekarskich. Z powodu jej przedwczesnej śmierci (zmarła w wieku lat 43), nieukończony żal i smutek ogarnął tych, którzy bliżej znali tę piękną duszę.

Henryka Sławińska. Ofiarą strasznego wypadku padła w Pradze czeskiej Henryka Sławińska, artystka operowa, o głosie pięknym i wybitnym talencie artystycznym. Odbywała się właśnie wspaniałe „corso” kwiatowe, kiedy nagle cztery konie powozu barona Gyorgewicza splosły się i wpadły w tłum. Mnó-



Henryka Sławińska.

stwo osób pozostało okaleczonych, lub stratowanych, a artystka polska — zabitą. Henryka Sławińska urodziła się we Lwowie r. 1863. Przeniósłszy się do Pragi, debiutowała tam z dużym powodzeniem, jakiś czas występowała w Pilźnie a powróciwszy do Pragi, została tam aż do końca życia.

N A D E S Ł A N E.

„F. KOZŁOWSKI” Telef. 39-99
OBECNIE **S. Nowacki**
Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany, Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

ZYRANDOLE
kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

Grzebienie i szpilki do upinania fryzur damskich

szyldekretowe, rogowe i celuloidowe, poleca

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNA I S-KA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYNSKICH BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

ALFONS MANN Narzędzia lekarskie. Wyprawy położnicze. Bandaże i Pasy. Pończochy elastyczne. Trąbki słuchowe. Termophory (do gorących okładów.)
Warszawa, Tłomackie 3. Fabryka założona w 1819 r.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator. 7. Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOLE, FONOLE
GEBETHNER i WOLFF
ORGANY, MELODYKONY
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

ODPOWIEDZI.

Gejsza. Za każdą ocenę grafologiczną pisma należy złożyć kop. 60 na czytelnie bezpłatne. Otrzymałszy 7 prób pisma i rb. 1, należy przysłać jeszcze rb. 2.50.

Marya Janina. Przysłać pod adresem naszej administracji próbę pisma i kop. 50 na czytelnie bezpłatne.

P. Julia Olczakowa. Wyślemy w ciągu dwóch tygodni.

„Rol”. Agentura nasza w Łodzi (Biuro „Promień”, Piotrkowska 81) nie pobiera opłaty za porto okładek ozd. do Tyg., teczki i t. d.

P. Józefowi Kunck... Antropologia *Krzywickiego* cz. I zupełnie wyczerpana i nowego wydawnictwa na razie nie będzie, cz. III w przygotowaniu i wydanie w zimie 1908—9 r. Czy będzie więcej części, wydawca nie umie dać odpowiedzi.

Bandosowi. Niestety! jeszcze nie. Wiersze Pańskie odznaczają się poprawną formą mają nawet pewien nastrój, ale nie stoją na wysokości wymagań *Tygodnika*.

F. I. w Wilnie. Adres P. Szaniawskiej, wdowy po Klemensie Junoszy: Warszawa Smolna 32 m. 11.

Panu Z. J. w Mławie. „Zapomnienia” nie wydrukujemy.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Pastę „Bon ton,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwi, Pomadki, Proszki i Płyn „Fenomen” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Na mocy zezwolenia Ministerium Spraw Wewnętrznych przy Instytucie moim gimnastycznym, egzystującym od r. 1874, otwarte zostaną z d. 1 września dla Nauczycieli i Nauczycielek

Szkoła Gimnastyki Szwedzkiej leczniczej i masażu.

Wydawać się będą patenty z prawem udzielania lekcyj we wszystkich zakładach naukowych, oraz otwieraniem własnych gimnastycznych zakładów. Zapis kandydatów i kandydatek oraz informacje codziennie do 15 czerwca od godz. 5 do 9 na miejscu Aleja Jerozolimska 31. Po 15 czerwca wiadomość u Dr. Biehler, Wilcza 32.
Bolesław Olszewski.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”
mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”
po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki
Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza
po rub. 1.50, przesyłka i opakowanie kop. 50.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kuchenki, żelazka i t. p.
B-CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

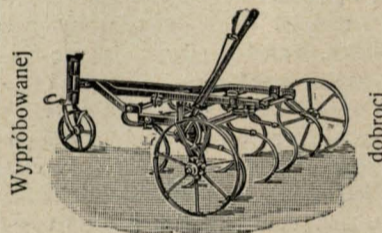
J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

MAŁECKI

Fabryka
Fortepianów
i Pianin

PIĘKNA Nr 1 (róg Alei
Ujazdowskiej) tel. 170,65.

Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych
zastosowanych do wszelkich rodzajów
gleby i do różnej siły pociągowej.



Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33 Senatorska.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKÓW TELEFON 671

MARYÓWKA

Sanatorium i Zakład wodolecznicy pod
Lwowem. Przyjmuje chorych celem leczenia.
Wszelkich wyjaśnień i prospekty odwrotnie
wysyła właściciel dr. Józef Zakrzewski.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala
świętego Łazarza
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO” w ROKU 1908.

NOWA SERIA.

12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

Chmielowski P. Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki	3.—
Desmolin E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki	1.50
Kochanowski J. K. Szkice i drobne dzieła historyczne	2.—
Papée F. Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	2.40
Raleigh T. Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak	—.60
Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie	3.40

Sobieski W. Dr. Szkice historyczne	1.50
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serja I	1.—
Tokarz W. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy	4.50
Weysenhoff J. generał. Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff	2.—
Zdziechowski M. Szkice literackie I.	2.—

12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

Gawalewicz M. Mgła. Powieść	1.20
Gliński K. W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy	2.50

Gruszecki A. Słomiany ogień. Powieść współczesna	1.50
Jabłczyński F. Romans.—Około śmierci.—Przy robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy człowiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle	1.50
Jeske-Choiński T. O mitrę hospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia	1.50
Kosiakiewicz W. Plama (Z pamiętników wynalazcy)	1.—
Mutermilch M. Żydzi. Powieść	1.50
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera	1.—
Prévost M. Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysovej, z 59 wydania oryginału	1.20
Rojan K. Lepsze czasy. Powieść	1.20
Świdarska A. Obok szczęścia. Powieść współczesna	1.20

PŁYN
Cenaflak.
rub. 1.

HEMOGEN MAGISTRA KLAWE

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, jako **działny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.** Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście No 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa